W numerze: Togliatti o kulturze • Konkursomania • Kiedy człowiek się naje? • Łódź dla Górnego Śląska • Zmartwiony • Wiersze • Felietony • Recenzje • Polonica

odgłosu

Nr 36 (352)
12. IX. 1965
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK ROK VIII

TERESA WOJCIECHOWSKA

Uzdrowiska pod Łodzią?

Na początku 1961 roku Zjednoczenie Przemysłu Węgla Brunatnego we Wrocławiu zleciło Przedsiębiorstwu Geologicznemu w Warszawie przeprowadzenie wierceń w Rogoźnie, w pow. łęczyckim. Celem tych badań było przeprowadzenie dokumentacji złóż węgla brunatnego i soli w tym rejonie. Węgiel okazał się tu nie najlepszy, ale za to prace zostały uwieńczone innym odkryciem. We wszystkich, dokonanych w tym rejonie odwiertach, uzyskano obfite wody mineralne.

W niektórych zmineralizowanie dochodziło do 7 gramów na litr (jest to już gęsta solanka). W dwóch szybach, na głębokości 264,8 m dowiercono się termy. W jednym temperatura wynosiła około 26 stopni, w drugim dochodziła do 36 st. W tym drugim mineralizacja wody wynosiła 1,5 g na litr (jest to mineralizacja średnia, zaliczana już do wód mineralnych), a ciśnienie wody przy głowicy wynosiło 3,5 atmosfery, była to więc woda bijąca.

Czy odkrycie to było zaskoczeniem? Dla geologów — raczej nie. Instytut Geologiczny bada wody z okolic Ozorkowa już od 1947 r. uważając, że okręg ozorkowski daje duże możliwości wykorzystania wód mineralnych do kąpieli i picia. Interesująca jest struktura geologiczna terenu, o którym mowa. Łódź znajduje się w wale kujawsko-pomorskim, na którym występują wysady solne, eksploatowane w Inowrocławiu (sól wydobywana jest tam z głębokości około 2 tys. metrów). **Wysad ten ciągnie się aż do Łęczycy, na wschód od Łodzi i podchodzi pod Łódź.** W okolicy Łęczycy występują źródła słone, które były eksploatowane w dawnej przeszłości. Istnieją dowody, że od XIII do XVIII wieku pracowały na tym terenie warzelnie soli.

Przesuwając się dalej, na południowy wschód, znaleźć można w znacznej ilości studzien Ozorkowa, **wodę o podwyższonej temperaturze.** Na stosunkowo niedużej głębokości dowiercono się tam wody o temperaturze 22 st. Jeszcze dalej w tym kierunku, w rejonie Rogoźna, w odległości kilkunastu kilometrów od Łodzi,

Dalszy ciąg na str. 4

Zbrodnie Wehrmachtu

TADEUSZ SZEWERA

Jesienią 1945 roku Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich przy Ministerstwie Sprawiedliwości w Warszawie, przeprowadziła za pośrednictwem sądów grodzkich rejestrację miejsc egzekucji i masowych grobów ofiar terroru okupanta niemieckiego w Polsce w latach 1939—1945. Była to pierwsza po wyzwoleniu — na szerszą skalę pojęta — próba przedstawienia eksterminacji narodu polskiego w czasie okupacji.

Jakkolwiek nie wyczerpała ona „tematu", to przecież dowiodła już wówczas niezbicie, że za zbrodnie dokonane na bezbronnej ludności cywilnej oraz na wziętych do niewoli żołnierzach polskich we wrześniu 1939 roku, w równej mierze odpowiedzialność spada tak na oddziały SS, jak i na jednostki wojskowe Wehrmachtu. Z zestawienia dotyczącego np. wyłącznie tzw. Kraju Warty (w skład którego hitlerowcy włączyli województwo poznańskie, część województwa łódzkiego, wojew. pomorskie oraz jeden powiat z woj. warszawskiego) wynika, że w toku trwania kampanii wrześniowej hitlerowcy dopuścili się 132 mordów na cywilnej ludności i jeńcach wojennych. Z tego 79 egzekucji zapisały na swym koncie oddziały Wehrmachtu 10 armii gen. Reichenaua — (składającej się z 18 i 19 dyw. piechoty, 29 i 13 dyw. piechoty zmotoryzowanej, 1 dyw. lekkiej, 4 i 1 dyw. pancernej i pułku SS im. A. Hitlera) — oraz 8 armii gen. Blaskowitza, (składającej się z 30, 24, 10 i 17 dyw. piechoty oraz 221 dyw. Landwehry, zabezpieczonej od północy przez rezerwową 62 dyw. piechoty). Obie te armie rozpoczęły świtem 1 września uderzenie na pograniczne powiaty Wieluń i Sieradz, należące do województwa łódzkiego.

Jakże często dzisiaj przeróżni „pamiętnikarze" wydający swe wspomnienia w NRF (a są to przeważnie byli wyżsi oficerowie i generałowie Wehrmachtu), uzasadniają „bardziej rygorystyczne posunięcia" wobec ludności i wojska polskiego we wrześniu 1939 roku wyłącznie „strategią działań wojennych" oraz „braniem w obronę prześladowanej mniejszości niemieckiej" zamieszkałej w tym czasie na obszarze Polski. **My jednakże, opierając się na faktach, dokumentach i osobistych przeżyciach doskonale wiemy, że morderstwa (nazywane „bardziej rygorystycznymi posunięciami") nie miały nic wspólnego ze strategią wojenną, ani też z obroną mniejszości, ponieważ nikt jej nie prześladował. Wiemy, że zbrodnie Wehrmachtu we wrześniu 1939 roku były tak samo planowane z góry, jak zbrodnie późniejsze dokonywane przez gestapo i policyjny aparat hitlerowskiego okupanta.**

Już 24 lipca 1939 roku w rozkazie O.K.H. (Oberkommando der Heeres) nr 183/39 — związanym z kryptonimem „Fall Weiss" (czyli napadem na Polskę), a dotyczącym traktowania osób zdolnych do służby wojskowej w kraju nieprzyjacielskim, zalecano podległym jednostkom Wehrmachtu co następuje: „...na obszarze

Dalszy ciąg na str. 3

ze ŚWIATA

W tym roku — podobnie zresztą, jak i w poprzednich — nie było politycznych wakacji. Trudno więc mówić, że właśnie wkraczamy w okres powakacyjny. Jeśli jednak uparcie trzymać się tej przestarzałej terminologii — trzeba powiedzieć, że inaugurację „sezonu" znaczy kilka ważnych wydarzeń. Mam tu na myśli, jeśli chodzi o dyplomację polską, w kolejności chronologicznej: oficjalne rozmowy polsko-duńskie w Warszawie, trzydniową wizytę premiera Cyrankiewicza we Francji i zapowiedziany na 17 bm. przyjazd do Warszawy, na zaproszenie Adama Rapackiego, brytyjskiego ministra spraw zagranicznych — Michaela Stewarta. Już tylko wymienione fakty są dobrą ilustracją naszej aktywności politycznej.

Na „inaugurację sezonu" na arenie międzynarodowej złożą się też: otwarcie jubileuszowej sesji ONZ, a wcześniej: konferencja prasowa prez. de Gaulle'a i wybory do Bundestagu. „Ciągłość" zaś z okresem wakacyjnym zapewniają: trwające, niestety, nasilenie agresji przez USA w Wietnamie, utrzymujący się kryzys rządowy w Grecji i pozostawanie na porządku dnia (mimo powołania tymczasowego kompromisowego rządu) sprawy Dominikany.

Oczywiście, wyliczenie powyższe daleko nie wyczerpuje problemów międzynarodowych, pozostających w orbicie zainteresowania opinii światowej. Tę listę uzupełnia sprawa Kaszmiru, która wkroczyła w nową, niebezpieczną fazę, sprawa Singapuru i inne.

Niektórym z wyliczonych chciałbym poświęcić dzisiaj nieco uwagi.

Zacznijmy od wyjazdu polskiej delegacji rządowej do Francji, wydarzenia, które wywołało falę komentarzy w momencie ogłoszenia oficjalnego komunikatu, a które ponownie wypełniło szpalty gazet w przeddzień wizyty.

Komentatorzy tak, jak i poprzednio, o czym informowałem na tym miejscu, podkreślają wagę wydarzenia i określają przypuszczalną tematykę rozmów. Zgodni są przy tym, że dotyczyć ona będzie zarówno zagadnień ekonomicznych, jak i politycznych.

Kim będą nasi rozmówcy w Paryżu:

Sam de Gaulle, który przebywał w Polsce w 1920 roku, oraz niektórzy ludzie z jego najbliższego otoczenia: Burin de Rozieres (b. ambasador w Warszawie), Peyrefitte (b. konsul w Krakowie) i inni — dobrze znają Polskę i jej aktualne problemy. Ta okoliczność, jak również tradycyjne związki polsko-francuskie, niewątpliwie rzutować będą na przebieg rozmów. Ważniejsza jeszcze jest zbieżność poglądów na niektóre zagadnienia międzynarodowe, wyliczane już przeze mnie w jednym z poprzednich komentarzy.

Zachodnioniemiecki „Die Welt" pisze na ten temat:

„Rozmowy, które przeprowadzi Cyrankiewicz z gen. de Gaullem i jego ministrami, posiadać będą szczególne znaczenie dla dalszego kształtowania się orientacji francuskiej polityki zagranicznej".

Dziennik przypomina następnie, że de Gaulle 23 czerwca 1959 roku opowiedział się publicznie za obecnymi granicami Niemiec, a 4 lutego br. powrócił do tego tematu, aby dać im w sposób jednoznaczny do zrozumienia, że „muszą przyjąć taką europejską regulację pokojową, która określałaby ich granice i ich statut militarny, zgodnie z wymogami bezpieczeństwa, wysuwanymi przez sąsiadów Niemiec".

Tak się złożyło, że wizytę polskiej delegacji rządowej we Francji poprzedziły rozmowy francusko-amerykańskie, po których w Stanach Zjednoczonych oczekiwano wiele. Nie wydaje się jednak, by podsekretarz Ball osiągnął w dwóch głównych tematach rozmów: problemie indochińskim i przyszłości NATO nic więcej, niż ponowne poznanie stanowiska Francji. Tak więc należy przypuszczać, że w tych i innych sprawach występujące rozbieżności nie zostały złagodzone.

Wizyta Balla w Paryżu pilnie śledzona była w Bonn. Jej wynik mógł mieć przecież wpływ na wybory do Bundestagu. Ocieplenie stosunków amerykańsko-francuskich mogło korzystnie odbić się na pozycji rządzącej CDU. Takie wahnięcie na korzyść Erharda jednak nie nastąpiło i szanse rywalizujących partii o większość w Bundestagu pozostają — jak się wydaje — nie zmienione. Z tym większym zainteresowaniem śledzić będziemy wynik wyborów.

Naszą uwagę w dalszym ciągu przykuwają również wydarzenia w Grecji. Liczne próby rozwiązania kryzysu, łącznie ze zwołaniem na dwudniowe posiedzenie Rady Koronnej, składającej się z aktualnych przywódców partii politycznych oraz byłych premierów, nie dały rezultatu. Król kategorycznie nie zgodził się na rozpisanie wyborów przed upływem kadencji obecnego parlamentu, co nastąpi w 1968 roku, i impas utrzymuje się. Czy w tej sytuacji Konstantyn raz jeszcze spróbuje utworzyć rząd, opierając się o kogoś z unii centrum, czy też sytuacja szybkimi krokami zmierza do zamachu stanu — trudno powiedzieć. W każdym razie nad Atenami unosi się gorączka, a stawka rozgrywki, która może być również korona Konstantyna, zwiększa się z dnia na dzień.

I jeszcze kilka słów o Wietnamie.

W ostatnich dniach rozeszła się fala pogłosek i spekulacji na temat możliwości szybkiego negocjowania problemu wietnamskiego. Sondaże takie — w formie pośredniej — rzeczywiście miały miejsce, ale nie wydaje się, by przygotowały one grunt do jakichkolwiek rozmów. Nie stworzyły tych warunków Stany Zjednoczone, które rafascynowane 44 stopniami nasilania agresji, opracowanymi przez Hermana Kahna, wypróbowują te pseudoteorie na poligonie wietnamskim.

Tak więc nie amerykańskie słowa, ale czyny mogą tu być jedynie słuszną wskazówką co do prawdziwych intencji Waszyngtonu. Te ostatnie zaś nie rokują nadziei na szybkie negocjacje.

W. SŁAWSKI

Kronika TYGODNIA

NIEDZIELA
29 sierpnia

■ W hiszpańskim porcie Kadyksie wodowano przeznaczony dla Kuby statek handlowy — jeden z wielu tego typu zakontraktowanych przez rząd Kuby w Hiszpanii.

■ Przedstawiciel Arabów palestyńskich, bawiący w Nowym Jorku oświadczył, iż izraelski reaktor atomowy w Dimonie w ciągu trzech miesięcy będzie w stanie wyprodukować niezbędne ilości materiału rozszczepialnego dla skonstruowania pierwszej izraelskiej bomby atomowej. Stało się to możliwe dzięki sprzedaży przez USA Izraelowi samego reaktora, znacznych ilości ciężkiej wody, oraz ukrytego finansowania prac badawczych poprzez obligacje pomocy Izraelowi, zwolnione od podatku w USA.

■ Sztuki i opery o współczesnej tematyce rewolucyjnej powinny szybko i całkowicie opanować sceny chińskie — oświadczył na uroczystości zamknięcia festiwalu teatralnego i operowego w jednej z prowincji Chin członek kierownictwa KP Chin Tao — Czu.

PONIEDZIAŁEK
30 sierpnia

■ Rząd NRF proponuje w przesłanej rządowi radzieckiemu nocie otwarcie linii lotniczej między NRF a ZSRR.

■ Regularne armie Indii i Pakistanu starły się po raz pierwszy w okresie obecnego kryzysu. Prezydent Pakistanu Ajub Khan powiedział: „W obecnej godzinie najwyższej próby, ludność Pakistanu powstanie jak jeden mąż i da należytą odpowiedź na indyjską agresję".

Premier Indii Shastri: „Jest to regularny atak i oczywiście stawimy mu czoła". Kraj jest w pełni przygotowany do podjęcia wezwania".

■ Rząd brytyjski odmówił udzielenia wiz wjazdowych grupie przywódców południowowietnamskiego FWN zaproszonych do Londynu przez fundację pokojową lorda Russella.

■ Agencja Nowych Chin informuje, że powrócił do ChRL współpracownik Czang Kai-szeka, jeden z członków jego otoczenia, Hua Tsu-sin.

WTOREK
31 sierpnia

■ W Santo Domingo podpisano tzw. „akt pojednania" i „akt instytucyjny". Pozwoliło to na utworzenie rządu tymczasowego z Hectorem Garcia Godoy na czele, który sprawować będzie swe funkcje premiera przez dziewięć miesięcy, po czym rozpisze wybory powszechne.

■ Centralny organ prasowy KC KP Japonii publikuje artykuł zatytułowany: „Teoria współczesnych rewizjonistów w sprawie wojny i pokoju oraz jej osąd przez historię".

■ W wywiadzie dla tygodnika „Echo der Zeit" kanclerz Erhard ponowił zaproszenie wystosowane niegdyś do radzieckich mężów stanu do złożenia wizyty w Bonn.

■ UPI: „Ostatnie sondaże w sprawie przywrócenia pokoju w Wietnamie wygasają jeden po drugim, pozostawiając niewiele nadziei na rychłe uregulowanie konfliktu w drodze negocjacji".

ŚRODA
1 września

■ Były ambasador USA w Sajgonie Maxwell Taylor otrzymał od prezydenta Johnsona nową funkcję, a mianowicie specjalnego doradcy prezydenta z zadaniem udzielania porad w sprawie Wietnamu, a ponadto badania wszystkich projektów rządowych mających na celu „przeciwstawienie się agresji komunistycznej za granicą".

■ „Prawda" publikuje artykuł S. Pawłowa, I sekretarza KC Komsomołu, w którym autor krytykuje pewnych młodych autorów i artystów za zwracanie nadmiernej uwagi na ciemne strony życia i na następstwa kultu jednostki, oraz za sceptycyzm wobec najbardziej pozytywnych elementów rzeczywistości radzieckiej.

■ Rząd ChRL w przesłanej rządowi brytyjskiemu nocie protestuje przeciwko wykorzystywaniu przez USA Hongkongu dla celów agresji w Wietnamie i ostrzega, że „jeśli rząd brytyjski będzie zezwalać na wciąganie Hongkongu do agresywnej wojny Stanów Zjednoczonych w Wietnamie, będzie musiał ponieść wszelkie wynikające z tego konsekwencje".

Dzisiejsza młodzież nie wie czego chce, ale czyni wszystko, aby to zdobyć.

Jean Cau — pisarz

CZWARTEK
2 września

■ Francuscy eksporterzy pszenicy zawarli kontrakt na eksport 300 tysięcy ton tego ziarna do Związku Radzieckiego. Przewiduje się, że ZSRR zakupi we Francji około 1 miliona ton pszenicy.

■ Premier Singapuru Lee Kuan-yew, ujawnił w czasie konferencji prasowej, iż Stany Zjednoczone usiłowały w 1960 roku przekupić go za pośrednictwem agenta CIA. Rząd USA zaoferował Lee Kuan'owi 3 miliony dolarów, „Amerykanie — powiedział premier Lee — powinni zrozumieć, że gdy mają do czynienia z Singapurem nie stykają się z ludźmi takimi jak Ngo Dinh Diem czy też Li Syn Man.

Premier Singapuru oświadczył również, że nie pozwoli na to, aby bazy brytyjskie mieszczące się na obszarze państwa użyte zostały, jako groźba, czy też środek szantażu wobec Indonezji, albo też dla ataku na Chiny.

Milczenie jest argumentem nie do odparcia.

Heinrich Böll — pisarz

PIĄTEK,
3 września

■ Agencja Sinhua o stanowisku Chin wobec ONZ: „Stanowisko Chin wobec ONZ jest znane całemu światu. ONZ czyniła wszelkiego rodzaju zło w wyniku manipulacji Stanów Zjednoczonych i zdegenerowała się w ich narzędzie. ONZ musi naprawić swe błędy i ulec całkowitej reorganizacji".

■ Działacze węgierskiego rolnictwa podkreślają olbrzymią rolę działek przyzagrodowych w zaspokojeniu potrzeb ludzi w artykuły rolnicze. W jednym z okręgów republiki działki przyzagrodowe stanowią 10 proc. ziemi ornej miejscowych spółdzielni produkcyjnych, na których chłopi uprawiają głównie kukurydzę, i inne pasze. Podstawowy dochód jednak czerpią oni z hodowli. 45 proc. krów, 42 proc. wieprzy, 45 proc. macior, 90 proc. drobiu hoduje się w tym okręgu na działkach przyzagrodowych.

■ W jednostkach wojskowych Kuby trwa proces umacniania roli organizacji młodzieżowej i partii. W armii obowiązuje czterostopniowy system selekcji przy przyjmowaniu do organizacji młodzieżowej bądź partii. Na pierwszym stopniu dokonuje się wyboru „wzorowych żołnierzy" na ogólnym zebraniu jednostki wojskowej. Na drugim stopniu selekcji komisja partyjna wyższego szczebla przeprowadza wywiady indywidualne z wzorowymi żołnierzami. Trzeci stopień to krytyka wzajemna i samokrytyka na zebraniach „wzorowych żołnierzy", którzy wyrazili chęć wstąpienia do organizacji. Czwarty etap stanowi przedstawienie wyselekcjonowanych kandydatów na ogólnym zebraniu jednostki, po czym następuje zatwierdzenie członków partii i ukonstytuowanie organizacji partyjnej.

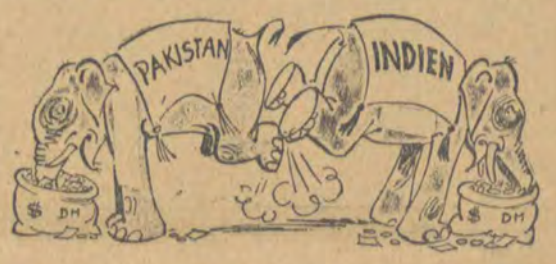

Konflikt pakistańsko-indyjski w oczach Zachodu. („Die Welt")

SOBOTA
4 września

■ Rząd radziecki zażądał odroczenia występów amerykańskiego teatru, który miał wystawić na scenach radzieckich komedię muzyczną „Hello Dolly".

■ Włochy zamierzają ponowić swą propozycję skierowaną do krajów nie dysponujących jeszcze bronią jądrową, aby na ograniczony okres czasu wyrzekły się podejmowania kroków w kierunku jej uzyskania. Celem tej propozycji jest stworzenie mocarstwom jądrowym możności zawarcia porozumienia w sprawie zakazu rozpowszechnienia broni jądrowej w okresie proponowanego moratorium trwającego 3—5 lat.

■ Sekretarz generalny ONZ U Thant opublikował report o stanie finansów Organizacji. Raport stwierdza, że ONZ nadal potrzebuje około 100 milionów dolarów na zlikwidowanie wszystkich zadłużeń, nie licząc spłat obligacji, których suma wynosi 154,75 miliona dolarów.

POLONICA

POLONICA

BOHATERKA FILMOWEGO „FARAONA" W ZSRR

Dwutygodnik „Sowiecki ekran" w swoim lipcowym numerze zamieścił wywiad z wykonawczynią głównej roli w filmie J. Kawalerowicza „Faraon" — Krystyną Mikołajewską. Oto co mówi nasza aktorka radzieckim entuzjastom jej talentu: „Zawód aktorki uważam za najważniejszy w moim życiu. Niekiedy jestem zmęczona, to prawda, lecz nie pracować w tym zawodzie nie mogłabym. Lubię niepokój i wysiłek".

A oto wypowiedź radzieckiego dziennikarza: „K. Mikołajewska mieszka i pracuje w Kaliszu. Ukończyła Wyższą Szkołę Teatralną i Filmową. Obecnie występuje w Teatrze im. Bogusławskiego, w roli Wiery w sztuce E. Stawskiego pt. „Ciążenie ziemskie". Za tę rolę została ona nagrodzona na festiwalu rosyjskich i radzieckich sztuk teatralnych".

(es)

„MICKIEWICZ — BLÄTTER"

Niestrudzony Hermann Buddensieg, tłumacz „Pana Tadeusza" na język niemiecki i redaktor czasopisma „Mickiewicz—Blätter, które ukazuje się w Heidelbergu, wydał obecnie nowy numer o bogatej treści. Obecny, 28 numer „Mickiewicz—Blätter" z kolei, zawiera artykuł Stefanii Skwarczyńskiej pt. „Mickiewicz i rewolucja we Frankfurcie w 1833 r.", następnie Jan Wypler pisze o Mickiewiczu jako autorze „Dziadów", zaś Zbigniew Jerzy Nowak zamieścił artykuł pt. „Postać żołnierza w świetle poezji Mickiewicza". Dalszą część numeru wypełniają wiersze Leopolda Staffa, K. I. Gałczyńskiego, bogate polonica niemieckie, noty itp.

ANTOLOGIA POEZJI POLSKIEJ

Jeden z ostatnich numerów „Les Lettres Francaises" (4.VIII.65) pisze o wydanej pod redakcją Konstantego Jeleńskiego francuskiej „Antologii poezji polskiej", że wypełnia ona jakąś istotną lukę w bibliografii i w znajomości poezji polskiej we Francji. Antologią obejmuje czasokres od końca średniowiecza aż do czasów najnowszych. Konstanty Jeleński w rozdziałach o poezji współczesnej uwzględnił wszystkich poetów, którzy się liczą, jednakże zamieszczone wiersze — zdaniem sprawozdawcy — nie reprezentują wszystkich kierunków ani tendencji.

W następnym numerze „Les Lettres Francaises" znajduje się nowa krytyczna recenzja o Antologii oraz 3 wiersze: Norwida, Słonimskiego i Herberta.

POLSKIE WIERSZE W NRD

Wychodzący w Weimarze dziennik „Das Volk" zaprezentował w swoim dodatku tygodniowym z 24 lipca br. kolumnę wierszy polskich poetów. Uwzględniono utwory następujących autorów: Zbigniewa Herberta, Tadeusza Różewicza, Janusza Koniusza, Eugeniusza Wachowiaka, Józefa Ratajczaka, Macieja Marii Kozłowskiego i Bolesława Solińskiego. Miesięcznik „Neue Deutsche Literatur", ukazujący się w Berlinie, zamieszcza w numerze sierpniowym dwa wiersze polskich autorów: Janusza Koniusza i Leopolda Lewina. Warto dodać, że numer sierpniowy tego miesięcznika poświęcony został w całości międzynarodowym obradom pisarskim, które odbyły się w maju b. roku w Berlinie i Weimarze. W spotkaniu tym wzięła również udział liczna grupa pisarzy polskich.

Zbrodnie Wehrmachtu

Dalszy ciąg ze str. 1

operacyjnym armii brać w razie potrzeby zakładników i podać do publicznej wiadomości, że w wypadku wrogiego zachowania się ludności zakładnicy będą rozstrzelani". Tenże rozkaz nr 183/39, tuż przed uderzeniem na nasz kraj, na odprawie generałów i feldmarszałków w Obersalzburgu w dniu 22 sierpnia Hitler uzupełnił nowymi wytycznymi dla Wehrmachtu. Kończą się one słowami: **„Nie miejcie litości, bądźcie brutalni, najsilniejszy ma prawo za sobą".** I dalej: **„„Wysyłam na wschód swoje formacje trupich główek z rozkazem zabijania bez litości i pardonu wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci polskiej rasy i języka".**

Widocznie mocno podziałały te słowa na generała Reichenaua, skoro 5 września 1939 roku (kiedy już jego armia wtargnęła głęboko w teren województwa łódzkiego dochodząc poza Widawę, Szczerców i pod Piotrków) w rozkazie do dowódców podległych mu jednostek bojowych 10 armii nakazywał: **„za każdego zabitego lub rannego żołnierza Wehrmachtu rozstrzelać 5 zakładników Polaków"**, przy czym w miejsce rozstrzelanych winien był Wehrmacht wziąć niezwłocznie nowych.

Ponury jest rejestr zbrodni Wehrmachtu na obszarze wojew. łódzkiego. Ponury tym bardziej, że egzekucje i zabójstwa dokonywane były przez żołnierzy okupanta już po zakończeniu walk i wycofaniu się wojska polskiego z danej miejscowości. Ponury tym bardziej, że wkraczające oddziały niemieckie rozstrzeliwały osoby cywilne nawet w tych miejscowościach, **w których w ogóle nie było działań.** Jak z dokumentów wynika robiono to „dla zastraszenia" i dla ugruntowania „respektu", a także dla „pomszczenia poległych żołnierzy Wehrmachtu" na froncie. Oto kilkanaście przykładów:

1 września o godz. 4 min. 40 rano **nad Wieluń** nadleciało 14 samolotów i zrzuciło bomby w centrum miasta. Front wówczas przebiegał jeszcze w rejonie Wieruszowa, Praszki i Dzietrzkowic. Pod bombami runął szpital grzebiąc 28 chorych i 4 pielęgniarki; w gruzy zamieniła się XII-wieczna kolegiata; płonęły domy mieszkalne. Tego dnia znalazło śmierć od bomb 2.137 bezbronnych cywilów — mężczyzn, kobiet i dzieci. Następnego dnia do zburzonego Wielunia wkraczały jednostki armii gen. Reichenaua. Żołnierze pomni na słowa Hitlera rozstrzelali z miejsca 80-letniego starca, którego wywlekli z domu na podwórze, a następnie wrzucili granaty ręczne do jednej z piwnic, w której ukryli się zmaltretowani bombardowaniem i przerażeni mieszkańcy. Od granatów padło 18 osób.

3 i 4 września Wehrmacht wkraczał **do Złoczewa.** Były to jednostki 17 dyw. piechoty 8 armii gen. Blaskowitza. W miasteczku odległym od linii frontu schroniło się wielu uciekinierów z miejscowości nadgranicznych. Ludzie sądzili, że tu przetrwają. Nad głowami nie pękały szrapnele, samoloty przelatywały obojętnie, nie zrzucały bomb. Złoczew nie stanowił punktu „strategicznie ważnego". A przecież nie obyło się bez krwawych ofiar. Mimo, że nie padł z miasteczka ani jeden strzał, mimo że nie było żadnych działań wojennych, **żołnierze Wehrmachtu rozstrzelali 200 osób** spośród mieszkańców i uchodźców, którzy się tu schronili. Rozstrzelali „dla przykładu" tak samo jak **w Lututowie** (10 osób), **w Żdżarach** (3 osoby), **w Konopnicy** (4 osoby), **w Osjakowie** (11 osób) i **Wyszanowie** (18 osób).

Oto powiat sieradzki. **Wieś Pleśnia Góra** w gminie Rossoszyca. Do wsi wkraczają oddziały okupanta. Ucichły odgłosy walki, ludzie wychodzą z piwnic i dołów na ziemniaki. Nagle ciszę przerywają pojedyncze strzały. To żołnierze „rozprawiają się" z rodziną rolnika Pawła Pluty. Najpierw poprzebijali bagnetami 50-letniego Plutę, jego 40-letnią żonę, 13-letnią córkę i syna, liczącego lat 11. Teraz dobijają ich strzałami. **Zamordowali czworo ludzi bez powodu.** Jak podano, „był to wybryk żołnierzy"; dodajmy, że „wybryk" nie tylko bezkarny, lecz także **usankcjonowany komentarzem do rozkazu OKH Nr 183/39.**

W tych samych dniach wracały do Kamionacza z tragicznej ucieczki 3 osoby. Natknęły się na patrol Wehrmachtu. Padły strzały chociaż żadna z idących osób nie uciekała. Jedna została zabita na miejscu, dwie zaś ciężko ranne.

4 września **we wsi Szczawno** koło Burzenina żołnierze z oddziału Wehrmachtu wyprowadzili z domów 23 osoby. Podzielili na trzy grupy i nagle, do niczego nie spodziewających się ofiar, **otworzyli ogień z karabinów maszynowych.** Potem sprowadzono innych mieszkańców wsi i kazano im zakopać rozstrzelanych na miejscu egzekucji.

I znowu dzień odległy od chwili, gdy przez powiat sieradzki przewalał się huk artyleryjskich wystrzałów. 14 września. Walki toczyły się wówczas nad Bzurą. Tymczasem tu, **w kolonii Dzigorzew** gminy Charłupia Mała, odezwały się salwy. Pluton egzekucyjny Werhmachtu zabijał 21 osób — 18 Polaków i 3 Żydów. Wśród rozstrzelanych rozpoznano m. innymi: nauczyciela gimnazjum, lekarza okulistę, byłego burmistrza, dyrektora gimnazjum, sędziego, kierownika szkoły powszechnej, adwokata i byłego naczelnika więzienia z Sieradza. Rozstrzelanych zakopano w dole na cmentarzu żydowskim.

Kilka dni wcześniej, bo 8 września, **we wsi Nadolna** gminy Dmosin (ale to już w powiecie brzeżińskim) przechodzący patrol Wehrmachtu zauważył, że w jednej z zagród obchodzone są imieniny. Przy stole siedziało 5 osób. **Wszystkich uczestników imienin zastrzelono i następnie spalono wraz z całą zagrodą.** To „było zrobione z fantazją" godną niemieckiego żołnierza.

Tak zachowywała się wkraczająca armia niemiecka w każdej niemal wsi, w każdym miasteczku i mieście, w każdym powiecie naszej ziemi.

Oto kres bitwy nad Bzurą. Armia gen. Kutrzeby wycofuje się z kierunku Łowicza na Sochaczew. Szosą warszawską ciągną zmotoryzowane oddziały Wehrmachtu i SS. Jadą także bocznymi drogami. Jedno z ugrupowań zatrzymuje się **we wsi Parma.** Żołnierze w mundurach feldgrau buszują po zagrodach. Zatrzymują 22 cywilów, uciekinierów z nadgranicznych miejscowości. „Dywersanci!" — wyrokują i rozstrzeliwują ich w polu wraz z 10 mieszkańcami wsi. Dla „przykładu". Mniej więcej w tym samym czasie opodal cegielni przy szosie warszawskiej (koło Łowicza) przejeżdżająca kolumna zatrzymuje 6 chłopców. Wracają do domów z tułaczej ucieki nierki. **Mają na sobie harcerskie mundurki.** „Dywersanci!" — wyrokują oficerowie Wehrmachtu i rozlega się salwa. Tym, którzy zakopywali zabitych nie pozwolono nawet usypać mogiły. Jedynie świeża ziemia „mówiła" o „bohaterskim wyczynie" żołnierzy, którzy na klamrach pasów mieli wypisane: Gott mit uns.

Rys. Anna Maria Smigielska

4 września wojska niemieckie docierały już w rejon Rozprzy. Front był daleko w przodzie, **w Cielętnikach** panował spokój. To nie przeszkadzało, że we wsi rozlegały się nadal strzały. Wehrmacht „walczył" z cywilami. W polu pod wsią, na nie zaoranym rżysku, leżały zwłoki dwojga dzieci — jedno miało lat pięć, drugie piętnaście. Opodal z wyciągniętymi do przodu rękami i z twarzami przywartymi do zagonu, spoczywały zwłoki trzech kobiet (może któraś z nich była matką tych dzieci? nie wiadomo!), a jeszcze dalej 6 rolników. Najstarszy liczył lat 60.

Tego samego dnia, we **wsi Kruszyna** „zwycięzcy" urządzili sobie libację. W pewnym momencie jeden z żołnierzy strzelił. Kula ugodziła w „kamerada". Wypadek raportowano oficerowi. „Nein" — krzyknął. — Zabili go Polacy i śmierć ta musi być pomszczona należycie! — Żołnierze dobrze znali rozkaz Hitlera. Wywlekli z domów 22 mieszkańców i wyprowadzili za stodoły. Mało! Złapali więc 11 Żydów. Mało! Wpadli im w ręce trzej chłopi. Ich także wyprowadzili w pole. Znowu posypały się strzały.

6 września Wehrmacht jeszcze raz pokazywał, jak realizuje się rozkazy tych, którzy wysłali na Polskę swe armie, by „zabijały bez litości i pardonu wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci polskiej rasy i języka". Otoczono **wieś Kajetanowice** w powiecie radomszczańskim. Na strzechy domów posypały się zapalające karabinowe pociski, w izbach poczęły wybuchać granaty wrzucane do wnętrza rękami niemieckiego żołnierza. Płonęła wieś, smażyli się żywcem jej mieszkańcy. Kto zdołał uciec z płonących zagród, padał na polach lub drogach. Żołnierz hitlerowskiej armii strzelał celnie do dzieci, do kobiet i starców. Na swym koncie zapisywał tego dnia: 6 dzieci w wieku od 1 do 14 lat, 11 kobiet (w tym 72-letnią babcię) i 55 chłopów, rolników, wśród których byli tacy, którzy liczyli ponad 90 lat. **Razem spalono lub zastrzelono 72 osoby.**

W cztery dni później na rynku w **Rawie Mazowieckiej** plutony egzekucyjne Wehrmachtu w „odwet za śmierć" 2 żołnierzy, którzy polegli w bitwie z wojskiem polskim, **rozstrzelały 40 obywateli miasta.** Również 10 września oddział SS wkraczający do **Mszadły** w powiecie skierniewickim dokonał egzekucji na 15-letnim dziecku. Jednocześnie zastrzelono 16 rolników i ich zwłoki spalono wraz z zabudowaniami. Ale to było mało żądnym zbrodni SS-manom. Wobec tego wyprowadzili z domów dalszych 25 osób. Los ich był oczywisty. Wszyscy zginęli od kul rozbestwionych żołdaków.

Ten sam dzień: 10 września, jedynie inna miejscowość i inna sceneria. Wehrmacht zajmuje miasteczko **Piątek** w powiecie łęczyckim. Opodal jest mostek zniszczony przez cofającą się armię polską. Niemcy wobec tego organizują łapankę: „niech Polacy naprawiają to, co zburzyła wojna". Łapanka daje obfity plon. 50 ludzi maszeruje pod eskortą Wehrmachtu w kierunku mostku. Jest wśród nich 10 mieszkańców z Piątku, 7 Żydów i 33 mężczyzn ewakuowanych z woj. poznańskiego, którzy tu się zatrzymali. Naprawiają mostek szybko. Powinni wracać do domów. **Lecz oto padają karabinowe salwy. Nikt ze złapanych cywilów nie uchodzi z życiem.**

12 września. Nad Bzurą toczy się wielka bitwa. „Dzielny" wobec cywilów Wehrmacht zaczyna cofać się pod naporem wojska polskiego. Wobec tego mści się na bezbronnej ludności. We **wsi Czerchów** gminy Leśmierz wywleka z domów 9 osób, które nie zdołały się ukryć. Jest wśród nich 70-letnia rencistka i ponad 70-letni starzec. Prośby o litość nie odnoszą skutku. Wszyscy giną rozerwani granatami ręcznymi. To było „ciekawsze widowisko" od „normalnego" rozstrzeliwania!

Nieskończenie długa jest lista miejsc i miejscowości, w których Wehrmacht dopuścił się we wrześniu 1939 roku bestialskich zbrodni na cywilnej ludności polskiej. Przypominamy je w rocznicę tragicznej kampanii nie dlatego, by rozdzierać i tak nigdy nie zagojoną ranę. Wrzesień 1939 roku, a potem lata okupacji mimo, że już dawno przeszły do historii, będą zawsze trwać żywo w sercach i w pamięci, tak pokolenia które wojnę przeżyło, jak i pokolenia wychowanego już po odzyskaniu niepodległości. Zbrodnie „zaplanowane z góry" przypominamy dlatego, ponieważ **są na Zachodzie Europy dyplomaci — cywile, którzy w neowehrmachcie — Bundeswehrze, nie dopatrują się żadnego dla narodów niebezpieczeństwa. *.**

TADEUSZ SZEWERA

* Przy opracowywaniu artykułu korzystałem z materiałów zawartych w „Przeglądzie Zachodnim" nr. 1 — 2/1955 i w „Biuletynie" nr. 10/1958 Głównej Kom. Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce oraz z zestawienia zbrodni Wehrmachtu sporządzonego przez Okręgową Komisję Historyczną ZBoWID w Łodzi.

P. Togliatti o kulturze

W pierwszą rocznicę śmierci Palmiro Togliattiego zamieszczamy poniżej dwa fragmenty jego wystąpień, poświęcone sprawom kultury.

„Nasze kierowanie działalnością artystyczną musi być oparte na konfrontacji różnych poglądów oraz na dyskusji. Partia nie powinna życzyć sobie twórców i pisarzy, którzy będą tworzyli według jej wskazówek. Szczególnym zadaniem partii jest pobudzanie i nadawanie kierunku twórczości artystycznej, otaczanie jej opieką ekonomiczną, polityczną i ideową tak, by miała wpływ na rzeczywistość społeczną i wzbogacała wiedzę swych odbiorców. W żadnym wypadku nie oznacza to jednak hamowania twórczości czy ograniczania poszczególnych twórców, gdy idzie o spory formalne czy inne, nawet wówczas, jeśli wydaje nam się, że to stanowisko, te poglądy prowadzą do ślepej uliczki, są niesłuszne czy przeszkadzają. Droga dziś krytykowana i odrzucona jutro stać się może czynnikiem pobudzającym do znalezienia nowego, głębszego wyrazu artystycznego, może stać się krokiem naprzód w artystycznym ukazywaniu świata. Partia nie jest organem, który ma pilnować, korygować, a przede wszystkim wyznaczać granice tego potężnego ruchu, najowocniej rozwijającego się wśród kontrowersji, walki najróżnicjszych kierunków, a jego osiągnięcia są właśnie efektem często skrajnie sobie przeciwstawnych tendencji. Komuniści mogą i powinni włączyć się aktywnie do tego ruchu, bądź to jako artyści, bądź jako zawodowi krytycy, czy jako odbiorcy, ale nie wolno im przykręcać śruby zanim nie ocenią tego inni, nie wolno im hamować i pozbawiać twórców wielkiego bodźca twórczości artystycznej, jakim jest gust publiczności".

(„RINASCITA" 1957)

Jest oczywiste, że dla umocnienia wpływów ideologicznych nie powtarzamy ciągle tych samych, dawno znanych tez. Dążymy do tego przez rozszerzanie znajomości naszych zasad i uzupełnianie argumentów o sile naszej prawdy. Dla wzmocnienia naszych ideologicznych wpływów szczególnie przydatna jest dziedzina kultury. Nie potrzebujemy martwić się o to w jaki sposób u nas, po wojnie i po dwudziestu latach faszystowskiego ostracyzmu, rozpowszechnił się marksizm, jako najwyższa filozofia, najlepiej umiejąca wyjaśnić do głębi i odsłonić problemy naszej współczesności. Nasi towarzysze ekonomiści i filozofowie bardzo się tu zasłużyli i jesteśmy im za to wdzięczni. Musimy więc kroczyć dalej, nie zbaczając z drogi, którą sobie wytyczyliśmy. Marksizm jest nauką tak wszechstronną i ścisłą, że nie obawia się konfrontacji z pradami niemarksistowskimi, przeciwnie, szuka spotkania z nimi, aby za pomocą swych argumentów o słuszności swych prawd. Do spotkań z innymi filozofami nie trzeba jednak przystępować z dogmatycznymi uprzedzeniami. Trzeba wszczynać dyskusje, bo w ten sposób zetkniemy się i zapoznamy z wszystkimi nowymi kierunkami, które odzwierciedlają nowe sytuacje i zmiany rozwojowe, zachodzące w życiu człowieka i społeczeństwa. Im silniejszymi argumentami będziemy dysponować, tym lepiej będziemy przygotowani do takiego dialogu i takiego spotkania. Dlatego właśnie tak wielka jest odpowiedzialność naszych towarzyszy, którzy pracują w dziedzinie nauki i kultury. Jest to odpowiedzialność wobec nich samych i wobec partii, ponieważ najwyższe władze partyjne nie będą za nich rozwiązywać specyficznych problemów twórczości literackiej, plastycznej i innych dziedzin sztuki. Filozofia marksistowska uzbroiła ich w podstawowe zasady ideowe, realizacja tych zasad w dziedzinie kultury jest całkowicie swobodna, jednak bardzo kategorycznie występujemy przeciwko temu wszystkiemu, co poniża godność człowieka i hamuje jego walkę o wolny świat. Marksistowska filozofia umożliwia tym towarzyszom zrozumienie dyskusyjnych problemów, jeśli są stawiane szczerze i pozwala na tolerancję wobec tych, którzy je stawiają w prawdziwym pragnieniu dojścia prawdy.

(NA X ZJEŹDZIE KOMUNISTYCZNEJ PARTII WŁOCH W ROKU 1963).

Uzdrowiska pod Łodzią?

Dalszy ciąg ze str. 1

występuje wysad solny, w miejscach najpłytszych na głębokości 160—180 m. Nad nim znajdują się dwa pokłady węgla brunatnego w dwóch poziomach. Jego wadą paliwową jest silne zasiarczenie, które dochodzi w górnym pokładzie do 4, a w dolnym do 17 proc., przy jednoczesnym zasoleniu.

Znalezienie wód mineralnych nie było więc dla geologów niespodzianką, jednakże władze naszego województwa dowiedziały się o tym oficjalnie dopiero na początku bieżącego roku. Wówczas, gdy zgodnie z obowiązującymi przepisami Przedsiębiorstwo Geologiczne przystąpiło do likwidacji szybów w Rogoźnie. Wówczas to entuzjaści podłódzkich bogactw mineralnych — balneolog dr med H. Wieliczański i klimatolog — prof. dr St. Zych — podjęli energiczną interwencję przeciwko zasypaniu źródeł. Dzięki tej interwencji wstrzymano likwidację szybu 9/5 (tego o najwyższej temperaturze wody). **Otwór zabezpieczono, a przy Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej powołano zespół do zbadania i oceny wartości źródeł mineralnych w Rogoźnie.** Na czele zespołu stanął dr H. Maciejewski, zastępca kierownika wydziału zdrowia WRN.

Przed Łodzią i województwem otworzyła się wielka szansa. **Mogą mieć własne uzdrowisko o cennych wodach leczniczych.** Badania laboratoryjne określiły wodę z szybu 9/5 jako artezyjską, chlorowo-siarczano-sodowo-wapniową. Zaś budowa geologiczna terenu jest taka, że przy odpowiednim doborze miejsc dla nowych wierceń można by w jednym uzdrowisku uzyskać wody łączące **wartości wód Ciechocinka, Inowrocławia i Buska.** Ocena lekarzy jest bardzo pozytywna. Ich zdaniem można by tu leczyć gościec stawowy i mięśniowy, choroby kobiece, przewlekłe schorzenia górnych dróg oddechowych, choroby serca i wieku podeszłego, stany pourazowe itd. **W dodatku rejon obfituje w bogate złoża borowinowe,** które można by na miejscu wykorzystać. Jest to borowina bardzo wartościowa, a w okolicy Łęczycy prawdopodobnie zasolona.

Minęły przeszło cztery lata od tego, jakby się mogło wydawać, doniosłego dla Łodzi odkrycia. W tym czasie z Łodzi i województwa skierowano do sanatoriów w całym kraju ponad 32 tysiące osób (rocznie wysyła się ok. 8 tys. pacjentów). A sprawa uzdrowiska łódzkiego żółwim krokiem posuwa się naprzód. Już pół roku zespół zbiera papierki, prowadzi korespondencję z tuzinem różnych instytucji i przedsiębiorstw — przygotowuje materiały na podstawie których Woj. Rada Narodowa stwierdzi czy sprawa jest warta zainteresowania.

Na całym świecie obserwuje się dziś tendencję **tworzenia klimatycznych ośrodków leczniczych w pobliżu wielkich miast.** Chodzi zarówno o możliwości prowadzenia szerokich badań naukowych przez akademie medyczne, jak i — co jest jeszcze ważniejsze — zwiększenie efektywności kuracji uzdrowiskowej. W klimacie zbliżonym do tego, w którym przebywa przez cały rok, pacjent, a raczej jego organizm, „nie traci czasu" na aklimatyzację, która w górach czy nad morzem trwa do 10 dni i w pierwszym okresie zmniejsza efekty kuracji. Dla pacjentów jest to również wielka wygoda z materialnego punktu widzenia. Odpadają koszty podróży, odpada zmęczenie po całonocnej jeździe pociągiem. Dwie łódzkie akademie medyczne kierują swych pacjentów, i lekarzy opiekujących się nimi, do Krynicy, Dusznik, Polanicy i in., aby z odległości kilkuset kilometrów obserwować wyniki leczenia. **A podłódzki obszar wielkich bogactw mineralnych leżący w pobliżu pięknych, zdrowych lasów, stwarzających znakomite warunki dla lokalizacji uzdrowiska pozostaje nie wykorzystany.** A więc są wszelkie warunki. Podsumujmy je raz jeszcze: wartościowe wody mineralne o dużym zróżnicowaniu, źródła termiczne, wartościowa borowina (którą np. do Krynicy dowozi się z bardzo dalekich odległości), są doskonałe warunki klimatyczne, są wreszcie pacjenci — łodzianie, żyjący w niedobrym klimacie, cierpiący głównie na schorzenia, które tu można by leczyć.

Ponad cztery lata minęły od dokonania odkrycia, pół roku zbiera się materiały i dokumenty. Czynnik społeczny — naukowcy, lekarze, jest pełen entuzjazmu i przekonania, że można by tu dokonać wielkiego dzieła. Czynnik administracyjny reprezentuje głos ostrożnego rozsądku. Oczywiście, rozsądek jest potrzebny i pożyteczny. Zwłaszcza, jeśli idzie o duże przedsięwzięcie i duże pieniądze. Ale przesadna ostrożność nie jest już pożyteczna. Do dużego przedsięwzięcia trzeba też dużego entuzjazmu, który pokona wiele trudności, oraz odrobiny fantazji, która pozwoli przetrwać te trudności.

Piętrzą się więc w sprawie uzdrowiska opory i wątpliwości:

○ czy woda ma w dalszym ciągu te same właściwości i temperaturę co cztery lata temu

○ czy źródło jest zasobne i czy warto je eksploatować;

○ czy posiada właściwości lecznicze, które można sprawdzić dopiero w leczeniu klinicznym;

○ czy to wszystko w ogóle się opłaca;

○ jeśli tak, to kto za to wszystko będzie płacił.

Być może są to wątpliwości słuszne z określonego punktu widzenia, ale:

— im dłużej woda w szybie 9/5 będzie zabezpieczona tak prymitywnie jak dotychczas, tym większe jest prawdopodobieństwo, że straci swoje właściwości;

— właściwości geologiczne terenu są znane i gwarantują chyba nie jedno, a wiele zasobnych i wartych eksploatacji źródeł;

— jeżeli chemicy i balneolodzy stwierdzili, że wody te mają średni i duży stopień zmineralizowania, jeżeli składem chemicznym przypominają wody ciechocińskie, inowrocławskie i buskie (a więc najsilniejsze wody mineralne w kraju), to można chyba przyjąć, że są to wody lecznicze;

Pierwsze projekty w tej sprawie już padły. Można uruchomić sprzedaż wody butelkowanej. To wcale niezły interes w mieście, w którym ludzie ustawiają się w kolejki do nieprzegotowanej wody z kranu, podłączonej do saturatorów. Można zbudować basen-termę, czynny przez cały rok („Mostostal" instaluje gotowe, plastikowe baseny, niedrogie i praktyczne).

Czy województwo musi wziąć na siebie cały ciężar finansowy przedsięwzięcia? Jest i Rada Narodowa Łodzi, są związki zawodowe, są wielkie zakłady pracy, są wreszcie zrzeszenia sportowe. **Jeśli je tym zainteresować — na pewno znajdą na to fundusze.**

Ale wszystkie pytania i wątpliwości będą retoryczne tak długo, jak długo sprawa będzie tkwiła na etapie papierkowo-korespondencyjnym, jak długo będzie spychana na plan dalszy, jak długo będzie ustępowała miejsca wszystkim innym sprawom. A chyba sytuacja już dojrzała do tego, by móc definitywnie wypowiedzieć się w tej sprawie i podjąć konkretne decyzje.

TERESA WOJCIECHOWSKA

Fot. Maria Sechłowa. CSSR.

KONRAD FREJDLICH

Złodzieje czy policjanci?

Pitaval łódzki

W końcu sierpnia roku 1919 Magistrat m. Łodzi wystosował poufne pismo do pana doktora Jasińskiego, Okręgowego Inspektora Policji Państwowej. Była to skarga Aleksego Rżewskiego, prezydenta miasta, na V Brygadę Policji Kryminalnej, której agenci mieli otrzymać od zwierzchności polecenie śledzenia członków Prezydium Magistratu i Rady Miejskiej i zbierania „kompromitujących szczegółów" z ich życia prywatnego. A chociaż ujawnione 15 sierpnia na posiedzeniu Rady Miejskiej fakty wywołały żywiołowe oburzenie radnych, u każdego, kto choć trochę orientował się w sytuacji, nie powinny były wywołać zdziwienia.

Zorganizowana przez generała Suryna-Masalskiego w pierwszych dniach niepodległości policja miejska rekrutowała się w przeważającej części z endecji, której na wszelki wypadek przydano jeszcze, nie mając widać dosyć zaufanych, byłych agentów ochrany carskiej i okupacyjnych władz pruskich, zasłużonych w tępieniu wszelkich ruchów niepodległościowych, niekoniecznie nawet o zabarwieniu lewicowym. Dopiero na tych „chłopcach" mógł pan generał polegać w całej pełni. Nie brzydzili się żadnej roboty, nawet mokrej, a przy tym mieli nieprawdopodobną wprawę w biciu. Dzielni „chłopcy" od razu pokazali co potrafią, wprawiając być może w zachwyt pana generała. Niestety, wzburzenie obywateli miasta, rządowa hustawka i zbytnia krzepa mundurowych, wszystko to łącznie ugodziło naszego generała dotkliwie — musiał poprosić o urlop, z którego już nigdy nie wrócił na zorganizowaną przez siebie placówkę. Na szczęście jednak generalskie dzieło nie zostało tak zupełnie zaprzepaszczone. Urzędowanie bowiem objął niejaki pan Zbrożek, także endek, mający wszakże szerokie plecy w Warszawie i opinię liberała, a więc opinię, która jego samego musiała dziwić i niepokoić. Desygnowany zrazu na stanowisko pełniącego obowiązki naczelnika policji, Zbrożek postarał się dość rychło o sprostowanie krzywdzącej opinii i starł natychmiast plamę z pułkownikowskiego munduru, obawiając się widać jednak kariery swego poprzednika, postanowił na wszelki wypadek mieć w ręku władze miejskie, które nie dość skutecznie zwalczały komunizm. Jest to jeden z prawdopodobnych motywów wydania agentom rozkazu śledzenia władz municypalnych, nie wolno nam jednak zapominać, że w owym okresie Łódź była terytorium ostrej walki o władzę między ugrupowaniami o najrozmaitszych odcieniach politycznych i ideowych, możliwe więc, że endecja w ten sposób przygotowywała się do następnych wyborów. Jest bowiem faktem, że w lipcu 1919 r. nieznani sprawcy włamali się do mieszkania Rżewskiego i skradli prezydencką korespondencję osobistą i służbową oraz spore archiwum wydawnictw politycznych. Jest także faktem w zasadzie bezspornym, że sprawcy nie zostali wykryci dlatego, że kradzieży dokonano za wiedzą, ba, na rozkaz Naczelnika Policji i siłami Policji Państwowej w Łodzi.

Pan doktor Jasiński uznając zarzuty za poważne, przekazał doniesienie prezydenckie prokuratorowi Łukanowskiemu, dzięki czemu wszczęto nigdy nie ukończone śledztwo i już 2 września przesłuchano w charakterze świadka samego skarżącego, który wniósł do sprawy sporo nowych faktów, przede wszystkim zaś nazwiska. Wprawdzie bowiem Rżewski zawdzięczał wszystkie dane anonimowi, który wpłynął do jego kancelarii po pierwszym włamaniu do prezydenckiego mieszkania (bo rychło dokonano włamania po raz drugi), ale wykorzystując swą pozycję w mieście wezwał policjanta Szumskiego, na którego wskazywał autor anonimu, i zadając mu cały szereg pytań, wydobył wreszcie to, co chciał usłyszeć: tak, jemu, Szumskiemu, skromnemu urzędnikowi policji kryminalnej w Łodzi, urzędnik policyjny Tsakumakis dał polecenie śledzenia prezydenta Rżewskiego, wiceprezydenta Fatersona i radnego Rapalskiego. Jak to się od razu rzuca w oczy rozkaz inwigilowania nie objął dygnitarzy miejskich, desygnowanych na stanowiska z ramienia endecji.

Sprawa od samego początku przedstawiała się poważnie, postępowanie urzędników policyjnych wypełniało bowiem znamiona art. 581 ówczesnego kodeksu karnego i tak zostało zakwalifikowane przez sędziego śledczego Strohmajera. Ale dopiero w miesiąc po wydaniu decyzji o wszczęciu wstępnego śledztwa, przesłuchano pierwszych świadków spośród policjantów.

Dwaj z nich, a mianowicie K. Disterhof oraz Cz. Kowalski wyparli się jakiegokolwiek udziału w kradzieży u prezydenta miasta, zaprzeczyli także, że otrzymali od zwierzchności polecenie śledzenia dygnitarzy miejskich desygnowanych na stanowiska z ramienia PPS. Ale wymieniony w anonimie W. Szumski, funkcjonujący urzędnik policji kryminalnej, częściowo potwierdził fakty przedstawione prokuratorowi przez Rżewskiego. Już w pierwszym zdaniu spisanego podczas przesłuchania protokołu czytamy: „W okresie czasu w końcu lipca i początku sierpnia rb. (było to w r. 1919 — przypisek mój), zakomunikował mi urzędnik policji kryminalnej, Tsakumakis, że on, ja oraz urzędnik Disterhof zostaliśmy wydelegowani przez inspektora policji kryminalnej (stanowisko to sprawował Miąsowicz — przypisek mój) do zebrania materiału kompromitującego, przeciwko członkom rady miejskiej Fatersonowi, Płóciennikowi, Zakrzewskiemu, Rapalskiemu oraz przeciwko prezydentowi Rżewskiemu".

Pozostał więc świadek najważniejszy, Jerzy Tsakumakis, którego sędzia śledczy zarezerwował sobie na koniec. Ale, jak to było do przewidzenia, policjant wyparł się wszystkiego, najpierw stanowczo, a potem, po skonfrontowaniu z Szumskim, już nieco łagodniej, stwierdzając, że nie przypomina sobie, aby „kiedykolwiek komunikował urzędnikowi Szumskiemu o tym, że otrzymał polecenie śledzenia członków rady miejskiej". O sprawie kradzieży w mieszkaniu prezydenckim, która musiała mieć niewątpliwy związek z inwigilacją Tsakumakis miał dowiedzieć się z prasy.

W ten sposób śledztwo zdawało się być ukończone. Pan sędzia Strohmajer nie kiwnął nawet palcem w bucie z własnej inicjatywy, policja tym bardziej nie była zainteresowana w wyjaśnieniu zagadki, która zresztą nie była zagadką. Przez pół roku akta leżały w zamkniętej szufladzie biura sędziego śledczego, gdy nieoczekiwanie 12 lutego 1920 r. znów okazały się potrzebne. Sprawił to Rżewski, który zjawił się z nowymi rewelacjami, obciążając ponownie policjantów. W ujęciu prezydenta miasta zatarg ze Zbrożkiem miał wyniknąć na tle publikacji prasowych w „Łodzianinie" i „Robotniku", które to czasopisma w marcu 1919 r. wydrukowały cykl artykułów o nadużyciach w zarządzie policji. Autor, podpisujący się inicjałami A. R. opisał sprawę zniknięcia porcelany ze składów policji państwowej i sprzedaży jej w komisie pana Weila przy ul. Zielonej, a także dziwną transakcję zarządu policji z restauratorem Wiśniewskim z ul. Moniuszki, któremu przekazano większą ilość papierosów stanowiących własność urzędu policji. Fakty opisane przez prasę były kompromitujące dla naczelnika Zbrożka, a co gorsza, najzupełniej prawdziwe. Nic dziwnego, dziennikarz, który robił materiał opierał się na informacjach byłego urzędnika działu gospodarczego policji państwowej, p. Porady, który nie mógł ścierpieć szalbierstw zarządu i przedstawił je prasie. A że inicjały A. R. przypadkowo były inicjałami prezydenta miasta, naczelnik Zbrożek postanowił mu dokuczyć. Wobec panującego wówczas bezrobocia, nie było to takie trudne. Trzeba było tylko pchnąć tłumy na magistrat i zwalić odpowiedzialność na komunistów. Pan Zbrożek, jak to widać, potrafił piec dwie pieczenie na jednym ogniu.

W maju 1919 r. na czele 70 osób do gabinetu Rżewskiego wtargnął jakiś rosły mężczyzna, który oświadczył, że „tłum wybrał sobie nowy skład Magistratu, gdyż obecny Magistrat nie dość energicznie bierze się do burżuazji". Mężczyzna ten bardzo umiejętnie prowokował przybyłych z nim ludzi do jeszcze gwałtowniejszych wystąpień. Zaczęto wznosić okrzyki: „Uciąć łeb", „Wyrzucić przez okno". Wprawdzie pod oknami magistratu znajdował się przybyły nie wiadomo dlaczego z wielkim opóźnieniem oddział policji konnej, ale policjanci, zwykle bezwzględni w stosunku do tłumów, tym razem wykazali wiele zrozumienia dla wzburzenia bezrobotnych. Mieszkaniec Zgierza, Kilanowicz, słyszał na własne uszy, jak konny mundurowy tłumaczył ludziom: „Przepuszczajcie tramwaje, a tam, w Magistracie, możecie sobie robić, co się wam podoba". Stojący zaś na posterunku obok mieszczącego się na ul. Konstantynowskiej biura dla bezrobotnych, sierżant policyjny Kupczyński, radził bezrobotnym udać się do Rżewskiego i wziąć prezydenta za mordę.

Najbardziej rewelacyjna okazała się jednak dla władz miejskich wizyta złożona jeszcze tego samego dnia w Urzędzie Policji Państwowej. Nie wierząc własnym oczom Rżewski ujrzał tam bowiem osobnika, który wtargnął do jego gabinetu, ubranego w czapkę policjanta. Inni policjanci skromnie wyjaśnili, że jest to policjant Lis. Rżewski więc zameldował o tym fakcie urzędnikowi policji kryminal-

Kiedy człowiek się naje?

Chleba naszego powszedniego, wołali ludzie w starej modlitwie, a od czterech klęsk, w tym głodu, miała ich bronić inna modlitwa. Dotąd nigdy nie zostały one całkowicie wysłuchane, skoro jedna trzecia ludzkości notorycznie głoduje. Około pół miliarda ludzi na Ziemi, przeważnie w krajach Ameryki Łacińskiej, Afryki i Azji spożywa poniżej normy 3.000 kalorii dziennie.

Uczeni zachodni jako przyczynę podają głównie eksplozję zatrudnienia w ostatnim 20-leciu, erozję gleby, malejącą jej urodzajność. Istotnie, we wszystkich krajach zacofanych, łącznie z chronicznie głodującymi Indiami, nastąpił przecież pewien postęp gospodarczy, ale został zjedzony przez miliony nowych gęb przyrostu naturalnego. Ale inni uczeni, w tym z krajów socjalistycznych, wskazują jeszcze i na inne przyczyny: wadliwą strukturę społeczną, zbrojenia, niesprawiedliwość w podziale dóbr tego świata, w wyniku której bogaci kiszą swoje nadwyżki w magazynach, gdzie rocznie przepada żywności starczającej dla wykarmienia całego głodnego subkontynentu Indii.

* * *

Rozdawnictwo i filantropia to jednak tylko zatykanie dziur, metoda straży pożarnej. Jeżeli pozostawi się w krajach zacofanych status quo, albo postęp będzie zbyt gnuśny, w tempie żółwia tropikalnego, to przepaść między sytymi i głodnymi nie tylko pozostanie ta sama, ale zacznie się powiększać. Do roku dwutysięcznego, jeżeli mamy nadążyć za spodziewanym wzrostem populacji, powinniśmy zwiększyć produkcję zbóż o 110 proc., warzyw o 200 proc. i o tyleż produkty hodowli. Wielu uczonych twierdzi, że współczesna nauka i technika są przygotowane, aby udzielić na to odpowiedzi. Do nakarmienia całych Indii wystarczyłoby nie tylko uwolnienie światowych nadwyżek z magazynów, ale dwukrotne zwiększenie zużycia tylko nawozów azotowych na całej planecie. Są uczeni na Wschodzie i Zachodzie, którzy twierdzą, że przy stosowaniu odpowiednich metod, Ziemia może wyżywić nie tylko istniejące 3 miliardy, nie tylko 6 miliardów grożących nam za 25 lat, ale 60—90 miliardów ludzi!

* * *

A więc ostatnie słowo ma należeć do nauki i techniki, w połączeniu z właściwymi warunkami politycznymi i społecznymi. Obliczono, że kiełek kukurydzy rozpędza się z siłą około ½ kilograma, to potęga, której gdy pomożemy się uwolnić, da nam bogaty plon. Rozwinęliśmy już techniki nieomal magiczne, dzięki którym możemy sterować urodzajnością zbóż. Jedną z nich jest uzyskiwana przy pomocy radiacji lub środków chemicznych tzw. poliploidalność, to jest zwiększenie w komórce roślinnej chromosomów, nosicieli jednostek dziedziczności. Prof. W. Fiodorow z Instytutu Biologicznego przy Uniwersytecie Leningradzkim uzyskał odmianę żyta o źdźble grubości ołówka, który nie tylko świetnie może stawiać opór deszczom i wiatrom, ale dawać 35 kwintali z hektara. Jest to właśnie wydajność, która mogłaby wystarczyć do nasycenia 90 miliardów ludzi, gdyby powierzchnia upraw wzrosła do 7 miliardów ha (obecnie uprawiamy 1,4 miliarda, ale ziemi zdolnej do rodzenia od zaraz jest sześć razy więcej). Poznanie tajemnic nowoczesnej biologii molekularnej może mieć walne znaczenie dla zwalczania głodu: dzięki lepszemu poznaniu roli kwasów nukleinowych i białek w procesie przekazywania cech dziedzicznych, uzyskano już krzyżówki pszenicy i żyta, łączące w sobie właściwości odżywcze pszenicy z wyjątkową odpornością żyta.

* * *

Czy stoimy w rolnictwie u progu stulecia soi? W każdym razie ta roślina strączkowa stała się modna, świat frontem do soi, soja receptą na zbawienie. To nie żarty: jeżeli głód jest przede wszystkim głodem białka, to soja dostarcza go pod dostatkiem, zarazem też i dając tłuszcz, 100 ton samej pszenicy ma tę samą odżywczą wartość, co połowa tego — 50 ton — z dodatkiem 5 ton mąki sojowej. Soja przeciwdziała ponoć miażdżycy, można z niej też wyrabiać sztuczne mleko o wartościach prawdziwego.

W USA, w rolniczym stanie Illinois, przystąpiono do produkcji regulatora wzrostu roślin, opartego na kwasie trójjodobenzenowym, który podniesie plony soi o 10—20 proc. Tamże, na uniwersytecie Peoria, opracowano recepturę sojowej galaretki, podobno nie tylko pożywnej, ale smacznej, co nie zawsze idzie w parze, jak wiemy z dzieciństwa.

* * *

Czy można ugryźć elektromózg? Można, ale to nic nie da. Za to elektromózg, jak się nietrafnie nazywa elektroniczną maszynę cyfrową, może nas lepiej wyżywić: na Ukrainie elektroniczna cyfrówka rozwiązała w ciągu pięciu minut problem najlepszego wykorzystania punktów maszynowo-traktorowych. Ten sam problem rozwiązywano by starymi metodami ołówka i liczydła czy arytmometru przez kilka miesięcy. Wpływ na to, czy będziemy jedli do syta w skali światowej, ma nie tylko rozwój samych technik rolnych, czy związanych z agrotechniką, jak np. przemysł nawozów sztucznych lub maszyn rolniczych, ale rozwój przemysłów, metod i specjalności, pozornie nic z plonami zbóż wspólnego nie mających. Weźmy chociażby ropę naftową. Odkąd wykryto, że pewien typ drobnoustrojów potrafi dokonać syntezy białek z ropy, oleista maź, pierwszy raz wykorzystana przez Łukaszewicza, weszła do jadłospisu homo sapiens. Oczywiście, w stanie przetworzonym: nie dziw, że na czoło wysunęły się tu m. in. Indie, gdzie problem żywności jest tak palący: w stanie Assam wyprodukowano niedawno pierwsze koncentraty proteinowo-witaminowe na bazie ropy naftowej, które wkrótce ma się wytwarzać w skali półtechnicznej. Także w Związku Radzieckim wytworzono podobne koncentraty z parafiny, otrzymanej w wyniku przeróbki ropy naftowej.

Najmniej prawdopodobnym źródłem pożywienia dla człowieka byłyby... ścieki z fabryk chemicznych. A jednak otrzymuje się już ważny odżywczo aminokwas, lizynę, z wód ściekowych przy pomocy biosyntezy. Smacznego!

* * *

„Ojcom naszym wystarczały ryby słone i cuchnące — my po świeże wyruszamy, w ocean nie pluskające" — tak wedle Galla Anonima śpiewali rycerze Krzywoustego wyprawiając się na Kołobrzeg. Bogactwa mórz od dawna karmiły człowieka, ale łowimy w skali światowej połowę tego, co byśmy mogli, nawet bez interwencji hodowlanej człowieka — tj. 60 milionów ton. Ale nie na tym kończą się możliwości: głony morskie to róg obfitości, jeżeli chodzi o białko, a także witaminy. Ostatnie informacje donoszą o metodzie uzyskiwania karotenu (substancji, z której powstaje witamina A), z morskiego planktonu. A więc zaczynamy uprawiać morze!

* * *

Natura i technika są gotowe na udzielenie odpowiedzi. Ale zwiększenie płodności naszej planety musi kosztować. Na razie nasz gatunek, zwany człowiekiem myślącym, wydaje rocznie około 100 miliardów dolarów na zbrojenia. Gdyby to wszystko obrócić na inwestycje rolnicze, odwieczne modlitwy zostałyby zapewne wysłuchane; ale tak, to Pan Bóg karze nas za głupotę i to, jak zwykle, tych najmniej winnych.

BELIAL

KAROL BADZIAK

Konkursomania

Życie nasze upływa ostatnio pod znakiem konkursów. Słowem inaczej rzec można — konkursowo sobie żyjemy. I rzeczywiście, dla niektórych konkursy stały się procederem. Znam nawet takich co nic innego nie robią tylko uczestniczą w konkursach, a w czasie wolnym rozwiązują krzyżówki, szarady i rebusy. Zaś za pieniądze zarobione na konkursach jeżdżą na festiwale piosenek, które są jakąś tam alotropową odmianą konkursów. Tyle, że od uczestników tych ostatnich nie wymaga się erupcji myślowej lub sprytu, lecz w miarę gwałtownego wydobywania dźwięków, co przy wydatnej pomocy szybko rozwijającego się przemysłu elektronicznego i Lucjana Kydryńskiego wespół z Ireną Dziedzic nie jest takie trudne.

Do konkursu zaprawiamy się od dziecka. Nie ma już chyba w Polsce takiej szkoły, do której można by się dostać bez konkursowych egzaminów. Ten sportowy zwyczaj, który niegdyś panował tylko na boiskach przeniósł się także do budownictwa i gospodarki komunalnej, do kultury, prasy, filmu, literatury, estrady, a szczególnie do telewizji. W telewizyjnych konkursach biorą ostatnio udział już nie tylko pojedyncze osoby, ale całe miasta. W drodze konkursów wybiera się dziś do TV nie tylko spikerów, lecz nawet recenzentów telewizyjnych. Z tym, że recenzentów się rzeczywiście potem angażuje, a na spikerów tylko organizuje konkursy. Ogłasza się w tym celu dwuszpaltowy komunikat, zbiega się ćwierć tysiąca chętnych i dotychczasowi spikerzy, występując w charakterze jurorów udowadniają konkurencji, że zgłaszać się nie powinni.

Rzecz ciekawa, że wraz ze wzrostem liczby konkursów wzrasta również liczba szyderców. Drwią oni nie tylko z dziewcząt, które chcą w drodze konkursu zostać modelkami telewizji, czy jak kto woli spikerkami. Kpią ze wszystkich uczestników. A jeszcze tak niedawno z osób biorących udział w konkursach naigrawali się wyłącznie panowie Rokita i Przybylski, oraz konserwatorzy miejscy i wojewódzcy. Z tym, że panowie Rokita i Przybylski ośmieszali delikwentów przed publicznością krajową, zaś konserwatorzy miejscy i wojewódzcy ośmieszali malarzy krajowych przed publicznością zagraniczną. Dzieła tych malarzy wysyłane na konkursy zagraniczne stemplowali bowiem nie zawsze prawdziwym napisem: „Przedmiot nie przedstawia wartości". Szczęście, że zagraniczni jurorzy nie sugerowali się zbytnio tą wstępną oceną. Po prostu nie znali języka polskiego. Jedynie w celnikach budziło to podejrzliwość i na wszelki wypadek skrobali złote ramy, czy aby nie są złote.

Osobiście również reprezentuję wobec konkursów celny punkt widzenia. Właściwie nie tyle konkursy co przyczyny organizowania konkursów wydają mi się często podejrzane, bo sam ich przebieg jest zazwyczaj żenujący, a wyniki zawstydzające. Rzecz jasna zawstydzające uczestników, a nie organizatorów. Proszę zauważyć, że z zasady nie przyznaje się już pierwszych nagród, lecz przeważnie dwie drugie, trzy trzecie, cztery czwarte itd. Prace całkiem bezwartościowe otrzymują wyróżnienia.

Istnieją dwa rodzaje konkursów. Takie, które mają przynieść rezultaty i takie, gdzie organizatorom bardzo zależy na tym, żeby się nie udały. Do tej ostatniej kategorii należą zwłaszcza konkursy na modelki, spikerki, gwiazdki filmowe i powieści regionalne. Jeśli pisarze miejscowi zarzucają miejscowym mecenasom, że o nich nie dbają, wtedy miejscowi mecenasi organizują dla miejscowych pisarzy konkurs na miejscową powieść. Wyznaczają krótki termin, ograniczają już i tak ograniczoną granicami regionu tematykę i prokurują makiawelowski regulamin. Pisarze miejscowi biorą się ambitnie do roboty, a w tym czasie pisarze zamiejscowi szybko wysyłają powieści, które już od dawna chowali w szufladzie i wygrywają konkurs. Miejscowi mecenasi triumfują. Udowodnili, że to nie oni są kiepskimi mecenasami, lecz ci, którym mecenasują są kiepscy.

Radzę więc uważać na konkursy. Namęczy się człowiek, natrudzi i jeszcze upokorzony może zostać. Lepiej już w Toto-lotka. Tym bardziej, że zbędna jest tutaj umiejętność pisania. Wystarczy krzyżyki stawiać.

nej, Weyerowi, ale Lis nie został zwolniony ze służby. Nietrudno zgadnąć dlaczego.

Jak z tego wszystkiego widać, wbrew mniemaniu Rżewskiego, zatarg władz komunalnych, gdzie miała większość PPS, nie był sporem Zbrożka z prezydentem miasta, na tle artykułów w prasie, ale walką endecji o władzę w Łodzi. Oczywiście Naczelnik Policji włączył do tej walki także pewne interesy osobiste. Dowodem tego, zeznania urzędnika policji kryminalnej, Franciszka Jakubowskiego, który oświadczył przed sędzią śledczym, że w policji rozeszła się pogłoska o planowanym podrzuceniu w mieszkaniu Rżewskiego worka z odzieżą amerykańską, co wobec trudności aprowizacyjnych miasta znakomicie skompromitowałoby prezydenta.

W miarę jak posuwało się to bardzo opornie prowadzone śledztwo, pan sędzia Strohmajer musiał popadać w coraz większą panikę. Wiedział bowiem doskonale, że Naczelnik Policji Zbrożek, cieszy się ogromnym poparciem ministra spraw wewnętrznych, Wojciechowskiego, późniejszego Prezydenta Państwa. Strohmajer więc z własnej inicjatywy przesłuchał inspektora policji Miąsowicza, o którym z góry wiedział, że nic nie powie. Trzeba było jednak sięgnąć do świadków zaofiarowanych przez Rżewskiego, ci zaś mogli zeznać do protokółu okoliczności, które zagrażały Zbrożkowi, a więc także karierze sędziego.

Kilanowicz był właśnie jednym z takich świadków, zeznał bowiem, nawiązując do wypadków majowych w r. 1919, że słyszał jak konny policjant tłumaczył tłumowi zebranemu przed Magistratem: „Co wam Rżewski może dać, on ma tylko jedne spodnie..., gdyby był Grohman, Poznański lub Scheibler, byłoby wszystko. Weźcie Rżewskiego za mordę i wyrzućcie z Magistratu". Kilanowicz prosił w urzędzie policji o przedstawienie policjantów konnych, zobowiązał się rozpoznać tego, który podburzał bezrobotnych, ale władze policyjne nie poszły na tę propozycję. Nie trudno zgadnąć dlaczego. Także świadek Porada, który przeszedł z policji do Magistratu na urzędnika poważnie obciążył Naczelnika Zbrożka. Opowiadając o swej pracy w II Magazynie Policji Państwowej przy ul. Wólczańskiej 57, Porada przypomniał, że nie mógł przejąć magazynu od kapitana Skrutowskiego w momencie, gdy znajdowało się tam 12 skrzyń herbaty, dwie skrzynie porcelany i sandałów oraz większa ilość mydła. Został dopuszczony do pracy dopiero po zniknięciu tych skrzyń z magazynu, o czym poprzez intendenta Malinowskiego zakomunikował Zbrożkowi. Raport ten został pominięty milczeniem, niestrudzony Porada przypadkowo jednak zauważył porcelanę i sandały w komisie Weila i tak wiercił dziurę w brzuchu sklepikarzowi, aż wydobył od niego, że towary te zostały nabyte od kapitana policji nazwiskiem Skrutowski. Wówczas Porada nakłonił Weila do wizyty u Zbrożka, gdzie w obecności inspektora Miasowicza przedstawił starą sprawę i złożył dodatkowo raport na piśmie. I ten raport pozostał bez odpowiedzi, na zapytania zaś Porady Zbrożek odparł, że Skrutowski przeszedł do pracy w wojsku, więc kradzież z magazynów leży w kompetencji żandarmerii polowej, a nie policji. Ale skrupulatny Porada wkrótce wyniuchał nowe nadużycia, zauważył bowiem, że woźny odnosi dwa worki papierosów do restauracji Wiśniewskiego. Podobno restaurator miał je zakupić od zarządu policji, ale wołowy nie zostały nigdzie zaksięgowane. Porada i o tym fakcie zameldował Zbrożkowi. Naczelnik odparł, że transakcja została dokonana za jego wiedzą, uregulował bowiem w ten sposób restauratorowi należność za jakąś kolację.

Rżewski w dalszym ciągu nie dawał za wygraną. Wkrótce z kancelarii prezydenckiej został wysłany list do Strohmajera z nowymi danymi. Prosił w nim Rżewski o przesłuchanie w charakterze świadków „1) Antoniego Deszczkę, Rzgowska 49. 2) Jana Kosteckiego, Stare Rokicie, Żórawia 18, 3) Rudolfa Fandrycha, Nawrot 24, celem stwierdzenia, iż policjant Lis na czele tłumu napadł na Magistrat i groził w gabinecie, oraz oświetlenia stosunków istniejących pomiędzy Lisem a Prezydium Policji, szczególnie zaś p. Zbrożkiem". Wszyscy oni byli urzędnikami policji, zeznania ich mogły mieć wielkie znaczenie. Deszczka, przodownik policji, potwierdzając niechęć Lisa do Rżewskiego dał do zrozumienia, że prowokacje w stosunku do Magistratu odbywają się za wiedzą Naczelnika Zbrożka, podkreślił też, że szef wyróżnia Lisa spośród innych policjantów i drzwi gabinetu naczelnika zawsze są dla tego policjanta otwarte. Fandrych określił jeszcze ściślej protekcjonalny stosunek Zbrożka do policjanta Lisa stwierdzając: „Lis dość często mówił, że o ile chciałby on wypowiedzieć się, to mógłby powstać duży skandal, gdyż otrzymuje on od Zbrożka poufne polecenia, o których nikt nie wie". Bardzo ważna była też ta część zeznania, w której Fandrych opowiedział o dłuższej, poufnej konferencji Zbrożka z policjantem Lisem w dniu majowych zaburzeń pod Magistratem. Także Kostecki obciążył Lisa i pośrednio Zbrożka stwierdzając: „Słyszałem jak Lis mówił do bezrobotnych: trzeba iść pod Magistrat, ja agitację przeprowadzę i cały personel magistracki wyrzucimy, wybierzemy spomiędzy siebie ludzi wykwalifikowanych i obsadzimy stanowiska w magistracie swymi ludźmi".

Jeśli do tego dodać zeznania Żółtaszka, komisarza inspekcyjnego Komendy Okręgu Łódzkiego Policji Państwowej, który na własne uszy słyszał jak Tsakumakis publicznie mówił do urzędników policji o śledzeniu Rżewskiego, faktów obciążających Zbrożka wystarczy najzupełniej. Niestety, śledztwo przeprowadzono po to, aby go nigdy nie skończyć, tzn. nie wyciągać żadnych wniosków z zebranego materiału dowodowego. Sędzia śledczy Strohmajer przesłuchał jeszcze Kamale, który złożył oczywiście nieprawdziwe zeznania, a także Maksymiliana Malinowskiego, byłego intendenta policji łódzkiej, który w tym czasie awansował na komendanta policji na miasto i powiat piotrkowski i jako człowiek Zbrożka, nabrał wody w usta. Wyjaśnienia ich nie miały już żadnego znaczenia, sprawie postanowiono uciąć łeb.

W trzy lata później na prezydenta miasta Łodzi wybrano endeka, M. Cynarskiego, PPS przegrała wybory i Rżewski objął skromną posadę urzędnika stanu cywilnego. Należała mu się lepsza nawet od endeków, miał dla nich mimo wszystko spore zasługi. Najlepszym tego dowodem fakt, że w czasie demonstracji sierpniowych w 1919 r. Rżewski zawezwał pomocy od Zbrożka pisząc: „Ponieważ przed Magistratem gromadzą się wciąż tłumy bezrobotnych, podżeganych przez osobników celowo zmierzających do wywołania rozruchów, a doszło do naszej wiadomości, że w najbliższym czasie przygotowywane są przez prowokatorów ostre wystąpienia, prosimy o łaskawe przysłanie w dniu dzisiejszym oraz 3 dni następnych wzmożonej ochrony policyjnej w celu niedopuszczenia do zakłóceń spokoju i porządku".

17 zaś września przed socjalistycznym magistratem doszło do zaburzeń, których rezultatem była śmierć 5 robotników i rany dalszych 47. Po stronie policji zginęła jedna osoba i raniono 32. Zbrożek dotrzymał więc złożonego przed prawicową prasą przyrzeczenia, że nie dopuści do „anarchii wzorowanej na rewolucji rosyjskiej". Rżewski zaś w kilka lat później wystąpił z PPS przechodząc na pozycje już wyraźnie prawicowe.

Bezrobotni demonstrują pod magistratem.
(Ze zbiorów Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego w Łodzi)

WŁADYSŁAW ZIELIŃSKI

ŁÓDŹ dla Górnego Śląska

Niejeden z mieszkańców Łodzi przechodząc przez Plac Wolności z zaciekawieniem czyta treść dwóch tablic pamiątkowych umieszczonych na gmachu Muzeum. „Społeczeństwo miasta Łodzi w 15 rocznicę III powstania śląskiego...", „w 25 rocznicę III powstania śląskiego..." Przechodzień zastanawia się jakie wspólne losy i jakie związki łączyły Łódź z Górnym Śląskiem w owych dniach, kiedy ważyły się losy przynależności państwowej tej prastarej dzielnicy polskiej. Odpowiedzi na to udzielają nam akta przechowywane w Archiwum Państwowym miasta Łodzi i województwa łódzkiego.

Kiedy w sierpniu 1919 roku wieść o zbrojnym powstaniu ludności śląskiej przeciw przemocy pruskiego grabieżcy dotarła na ziemie polskie wtedy całe społeczeństwo zapragnęło przyjść z pomocą ludowi górnośląskiemu, który nie wahał się ponieść największych ofiar, ofiar życia, aby wejść w granice swojej ojczyzny. W wielu miastach polskich powstały wówczas społeczne komitety pomocy dla Śląska.

26 sierpnia 1919 roku grono mieszkańców Łodzi w osobach przedstawicieli zakładów pracy, urzędów, instytucji publicznych, organizacji społecznych i politycznych zebrało się, aby radzić w jaki sposób Łódź może pomóc Ślązakom. **W wyniku tej narady powstał „Łódzki Komitet Doraźnej Pomocy dla Górnoślązaków". Wyłoniono także Komitet Wykonawczy, na czele którego stanął Leon Chwalbiński.** Najpilniejszym zadaniem, wynikającym z sytuacji powstańców górnośląskich, którzy zmuszeni byli opuścić Górny Śląsk w obawie przed represjami Grenzschutzu, było zapewnienie im egzystencji na terenie państwa polskiego. Łodzianie już 27 sierpnia 1919 roku zobowiązali się udzielić schronienia dla 900 uchodźców górnośląskich, wyrażając równocześnie gotowość natychmiastowego przyjęcia 300 osób. Powstającym na terenie Zagłębia Dąbrowskiego obozom uchodźców Łódź zaofiarowała przekazanie 600 sienników. Powstańców górnośląskich przybyło jednak do Łodzi niewielu; nie chcieli oni opuszczać Zagłębia Dąbrowskiego, skąd było najbliżej do rodzinnych domów; oczekiwali oni amnestii, która w końcu jesienią 1919 roku pozwoliła im wrócić na teren Górnego Śląska.

Rozpoczął się nowy okres działalności łódzkiego Komitetu. Przed ludnością Górnego Śląska stał plebiscyt, który na mocy postanowień traktatu wersalskiego miał zadecydować o przynależności ziemi śląskiej. Niemcy od chwili zakończenia I wojny światowej, a więc jeszcze przed podpisaniem traktatu, czyniły szalone wysiłki celem utrzymania Górnego Śląska. Obawa przed utratą olbrzymiego potencjału gospodarczego, jaki reprezentował przemysł górnośląski mobilizowała imperializm niemiecki do finansowania całej akcji plebiscytowej, pochłaniającej kolosalne sumy. W walce plebiscytowej nie cofali się oni przed użyciem żadnego ze środków: przekupstwo, terror, nacisk ekonomiczny i administracyjny, wściekła propaganda antypolska posługująca się oszczerstwem i kalumnią, były bronią codziennego użytku. Polacy musieli przeciwstawić środki zdolne zniweczyć niemieckie usiłowania zbałamucenia Górnoślązaków, usiłowania zatarcia polskiego oblicza narodowego ludności górnośląskiej. W walce tej Górnoślązacy oczekiwali poparcia całego społeczeństwa polskiego, i to poparcia moralnego jak i materialnego.

Już od pierwszych chwil po wybuchu I powstania śląskiego społeczeństwo polskie na licznych wiecach gorąco protestowało przeciw gwałtom i bezprawiu niemieckiego żołdactwa spod znaku Grenzschutzu. **3 września 1919 roku w Łodzi zorganizowano publiczny wiec protestacyjny, żądając zaprzestania terroru na Górnym Śląsku, wyrażając pełne poparcie dla polskiej ludności walczącej o swoje słuszne narodowe prawa.** Równocześnie przystąpiono do zbierania składek pieniężnych i darów. Akcja zbiórki objęła wszystkie środowiska: zakłady pracy, szkoły, szpitale, wojsko itp. Składki były różne, od fenigowych aż po kilkadziesiąt tysięcy marek polskich. Nie zbrakło i przysłowiowego „grosza wdowiego", ofiarowanego przez najuboższą ludność z myślą ulżenia niedoli Górnoślązaków. Poszczególne grupy mieszkańców Łodzi, rzec by można, prześcigały się w pomysłowości w zbieraniu pieniędzy. Urządzano zabawy taneczne, dni znaczka górnośląskiego, loterie fantowe, kwesty uliczne i domowe, wszystko na potrzeby Górnego Śląska. Te formy wzbogacania funduszów plebiscytowych kontynuowane były zresztą przez cały okres działalności Komitetu.

Szczególnie intensywny okres pracy Komitetów nastał od lutego 1920 roku, z chwilą rozpoczęcia działalności Polskiego Komisariatu Plebiscytowego w Bytomiu, pracami którego kierował wybitny działacz narodowy, poseł Wojciech Korfanty. Na apel komisariatu bytomskiego i władz niemal we wszystkich powiatach na terenie całego państwa polskiego powstały komitety plebiscytowe. W dziele powstania komitetów plebiscytowych udział wzięły wszystkie warstwy społeczeństwa polskiego, które rozumiało ciężką sytuację Górnoślązaków. Tak np. 11 czerwca 1920 roku z inicjatywy prezesa Ogniska Nauczycielskiego w **Aleksandrowie** Apolinarego Wieczorka, powstał tam Komitet Plebiscytowy. **Komitety takie powstały również w Sieradzu i Kaliszu, Łęczycy i Łowiczu oraz w wielu innych miejscowościach. Istniejący w Łodzi Komitet przekształcił się w Komitet Plebiscytowy Okręgu Łódzkiego,** pełniąc funkcje kontrolno-koordynacyjne w odniesieniu do licznych komitetów terenowych. W skład zarządu weszli: ks. W. Tymieniecki, L. Chwalbiński, C. Świerczewski, J. Wolczyński, E. Krodkiewski. Komitet rozpadał się na szereg sekcji, górnośląską, cieszyńską, warmińsko-mazurską, spisko-orawską. Sekcje te miały wspomagać akcję plebiscytową na wymienionych terenach. Z racji ciężaru gatunkowego plebiscytu górnośląskiego sekcję górnośląską oczekiwały największe zadania. Spotęgowano akcję zbiórki pieniędzy. **Społeczeństwo Łodzi dobrowolnie opodatkowało się na rzecz Górnego Śląska;** w restauracjach pobierano 10% od rachunków przekraczających 50 Mk, opodatkowano zabawy sylwestrowe, robotnicy w wielu zakładach przepracowywali dodatkowe godziny oddając cały dochód na plebiscyt, wszyscy mieszkańcy w miarę swoich środków finansowych wykupywali nalepki okienne, które były jak gdyby legitymacją udzielonego dla Górnego Śląska poparcia. Pracownicy łódzkich tramwajów zorganizowali loterię przeznaczając dochód w połowie na plebiscyt a w połowie na zakup tzw. milionówek, które zostały rozlosowane wśród nabywców biletów loteryjnych. Łącznie emitowano 200 000 biletów po 20 Mk. Rozsprzedawane one były w miejscach publicznych całej Łodzi. Również i młodzież przyczyniła się do wzrostu funduszów plebiscytowych. W styczniu 1921 roku zorganizowano Dzień Młodzieży dla Górnego Śląska. Efektem kwesty przeprowadzonej przez gimnazjalistów było zebranie 300 000 Mk. Zebrane w ten sposób fundusze Komitet Łódzki przekazywał bytomskiemu Komisariatowi. Część jednak funduszów przeznaczano na akcję propagandową, na wiece, prelekcje, plakaty, publikacje itp. Zadbano także o przebywających na terenie Łodzi a uprawnionych do głosowania plebiscytowego Górnoślązaków. W sumie 273 Górnoślązaków z Łodzi, wyekwipowanych przez Komitet Łódzki, wyjechało na Górny Śląsk aby tam głosować za przyłączeniem ziemi śląskiej do Polski.

Od **1919 roku rozpoczęły się osobiste kontakty Górnoślązaków z łodzianami.** Po uchodźcach przebywających w Łodzi przez kilka miesięcy w okresie późniejszym przybywało do Łodzi szereg wycieczek Górnoślązaków. Zwiedzali oni miasto, zakłady pracy a wszędzie witani byli niezmiernie gościnnie. Wielkim wydarzeniem w życiu Łodzi był występ niemal 100 osobowego zespołu górnośląskich kół śpiewaczych, w dniu 27 grudnia 1920 roku w Sali Koncertowej. Występ ten zakończył się spontaniczną manifestacją solidarności narodowej.

Początek roku 1921 to ostatni, najbardziej wzmożony i gorączkowy okres działalności komitetów, a w tym i łódzkiego. Niemal co niedzielę, a i częściej odbywały się publiczne wiece manifestacyjne. I tak np. 10 stycznia 1921 roku na wiecu sprawozdawczym Komitetu Plebiscytowego Okręgu Łódzkiego zebrani oświadczyli, że: „gotowi są do najdalej idących ofiar z mienia swego — a jeśli zajdzie potrzeba — i z krwi dla sprawy połączenia Śląska z Macierzą — Polską". W dalszym ciągu toczyły się mozolne zabiegi komitetu wokół gromadzenia funduszów.

Wreszcie nadszedł dzień 20 marca 1921 roku — dzień plebiscytu. Całe społeczeństwo polskie z niepokojem oczekiwało wyników plebiscytowego zmagania. Wreszcie dzienniki podały wiadomość — walne zwycięstwo Polski. Radość była udziałem wszystkich. W całym kraju odbywały się manifestacje radości i zwycięstwa. **22 marca odbył się wielotysięczny wiec mieszkańców Łodzi, którzy w podjętej rezolucji głosili: „...głosowanie ludności Górnego Śląska ostatecznie przesądzi o przynależności do państwa polskiego i w żadnym razie nie może być przedmiotem przetargów dyplomatycznych. Łódź łącznie z narodem całym zdecydowana jest bronić wszelkimi środkami wypowiedzianej woli ludu śląskiego i niezaprzeczonych praw Polski do Górnego Śląska."** Niestety dalsze wieści o wynikach plebiscytu były coraz mniej pomyślne. Okazało się, że zwycięstwo odnieśli Niemcy, za którymi opowiedziało się blisko 60% głosujących, w tym jednak poważna ilość emigrantów. Nie analizując przyczyn takiego wyniku trzeba stwierdzić, iż przedstawiciele Ententy, w których rękach znajdował się los Górnego Śląska nie zamierzali Polsce przyznać nawet części, która by odpowiadała wynikom plebiscytu a zaledwie skrawek w postaci powiatów rybnickiego i pszczyńskiego. Ten krzywdzący Polskę i lud górnośląski zamiar stał się przyczyną, iż Ślązacy zdecydowali się na rzucenie ostatecznego argumentu: czynu zbrojnego, trzeciego powstania śląskiego.

Cała Polska żywo poparła powstanie, wiece, zbiórki pieniędzy, odzieży, żywności — ze wszystkim co decydowało o powodzeniu powstania śpieszyła ludność polska. 8 maja 1921 roku odbył się wiec ludności łódzkiej. **Robotnicy łódzcy wyrażali pełne poparcie dla walki proletariatu górnośląskiego.**

Powstanie osiągnęło swe cele. Polska otrzymała znacznie większą od zamierzonej część Górnego Śląska. Jednakże ok. 500 000 Polaków pozostało po drugiej stronie, w granicach państwa niemieckiego.

Górny Śląsk patriotycznym czynem powstań na zawsze zjednoczył się z Polską. Niemała w tym zasługa była również społeczeństwa miasta Łodzi i ziemi łódzkiej.

JACQUES PREVERT

BARBARA

Barbara — w pamięci to miej,
Dniem miotał deszcz nad portem Brest
A ty beztroski wałęsałeś się,
Kwiat kwitnie, kiedy dżdże
I lamentował dzień.

Miej to w pamięci, Barbara
Nad portem Brest ciskał strugi,
Wtedy na Rue de Siam,
Mógłbym,
Bagatelka, wypogodzi się — Barbara.
Byłem chojrak, co nie?

Założyłbym się,
W tym wszystkim jakiś szwyndel jest,
Co, nie umiem policzyć do trzech?
Cały czas żyłem tym jednym dniem,
Choć spoczywa dziś na fest.

Facet dekował się jak mógł,
Ktoś krzyknął, Barbara,
Lazłeś sam nie wiesz gdzie,
Kwiat kwitnie, kiedy dżdże,
Jeszcze cię —
Grabula, chłopie
Cześć.

Co, gryzie cię ten stary mól,
Wiesz dobrze, o mały włos,
O mały włos
Mógłbym,
Cóż kumplom po tym? Teraz
Każdy i tak tyra.

Mógłbym,
Gdyby wtedy się ktoś napatoczył,
Diabeł wie co tak w kim tkwi,
Odpłynął dzień,
Statek D'Oussant,
Strzeż tego dnia,
Deszcz na twarz,
Na miasteczko,
Na drobne satysfakcje,
Na pola min.

Barbara,
Perz to starł,
Deszcz ze stali,
Z ognia, z żelaza, z krwi.
Co, deszczu nie możesz znieść?
A jakby cię tak, chucherko,
Uścisnął
Dziś?

Przypatrz się, Barbara,
No, uwziął się i chlupie,
Lecz kto wejdzie
Dwa razy w ten sam deszcz?
Hipochondryk z okularami na nosie.
Nawet ten
Nie.

Proste chmury
Kładły się na grzbiecie
Jak wierne psy.
Słuchaj, gdziekolwiek jesteś
Od portu Brest,
Wspomnij
Tamten deszcz.

PRZEŁOŻYŁ JERZY WALEŃCZYK

VINCENT MUSELLI

STANCE

Kształty ogrodów pysznych, w świetle, w światła błyskach
Posępna noc zburzyła i miesza kolory,
Kasztany, sosny to już czarne rumowiska,
Zmęczony dzień zdejmuje z kwiatów dnia pozory.

Niechaj obca ci będzie ta, co w miłość żywą
Wnosi niegodną śmierć ich, drzew i róż udręka,
Ku klęsce rzeczy serce nasze się wyrywa,
Ono, co czuje bliski cień i się nie lęka.

* * *

Ale te ptaki, które pod wieczór leciały,
Śpiewając mimo wiatru i pomimo cieni,
Dumne wśród gruzów, czyżby nic nie powiedziały
O nieubłaganym okrucieństwie nadziei?

Trwoga wsiąpiła w zwierzę i w roślinę.
Lęki mnożyły się w powietrzu, ale
Te ptaki, ptaki, cóż, śpiewały dalej,
Nie wiedząc, że się światło załamuje płynne.

Dzień zapadł już w szczerniałe tataraki,
Żal zimny ścisnął rzeczy na równinie,
Po kryjomu wszystko umarło i płynie
Coraz szerzej po stawie smutek, ale ptaki...

PRZEŁOŻYŁ MIROSŁAW OSTOJA OCHOCKI

JAN KOPROWSKI

Przepowiednie BOYA

A więc nowe wydanie „Flirtów z Melpomeną" mamy już ukończone. Przed wojną było tego w sumie tomów dziesięć, dzisiaj — pięć, gdyż obecna edycja obejmuje po dwa wieczory „Flirtów" w każdym tomie. Zauważmy przy tej sposobności, że nowe wydanie wzbogacone zostało o recenzje rozproszone po czasopismach i dziennikach, których nie uwzględniało wydanie dawne, że wypuszczono je w świat na dobrym papierze i w trwałej płóciennej oprawie. Atrakcyjności pismom teatralnym przydaje fakt, że ozdobiono je ilustracjami, przedstawiającymi wybitnych polskich aktorów w ich najlepszych lub najbardziej charakterystycznych rolach. Dodajmy jeszcze, dla porządku, że ostatnie wieczory „Flirtu z Melpomeną" zamykają dwudziesty trzeci z kolei tom pism zbiorowych Boya, wydawanych pod redakcją prześwietnego komitetu z samym Henrykiem Markiewiczem na czele.

„Flirty z Melpomeną" nic nie utraciły ze swej dawnej urody. Czyta się je z taką samą radością jak niegdyś. Powiedziałbym nawet, że czas, który upłynął, przydał recenzjom Boya „historyczności", co w tym wypadku powiększa jeszcze ich wartość. Nie wyobrażam sobie dziś reżysera, kierownika literackiego czy recenzenta teatralnego, który by nie sięgał do felietonów Boya nie tylko w celach konfrontacyjnych, ale po prostu dla przyjemności, jaką daje czytanie „płodów" jego pióra. Boy wcale się nie zestarzał, choć zestarzały się sztuki przez niego omawiane. Bał niektóre z nich dokumentnie zapomniano, pogrzebał je nielitościwy czas i żaden teatr nie zdoła ich wskrzesić do życia.

Powiedziałem wyżej, że żaden człowiek teatru nie może w pracy swej obejść się bez „Flirtów z Melpomeną". Ale to wcale nie znaczy, że Boy pisał je dla specjalistów. Otóż nie. Istotna wartość jego pism widzę w tym, że wziąć je może do ręki każdy oświecony czytelnik. Boy był wrogiem języka hermetycznego, dla wtajemniczonych, pisał jasno i jasność stylu uważał za najważniejszy przymiot pisarstwa. Tępił styl kwiecisty, barokowy, nicował mętniactwo myślowe, odnosząc się nieufnie do wywodów mrocznych i zawiłych. Lekkości i wdzięku pióra można mu pozazdrościć. Nie kto inny, a sam znakomity Karol Irzykowski, jeden z filarów polskiej krytyki literackiej okresu międzywojennego, zazdrościł Boyowi talentu i zazdrości tej nie ukrywał.

Na pociechę dzisiejszym krytykom i recenzentom teatralnym stwierdzimy, że i Boy nie był wolny od mylnych ocen i przepowiedni. Ujawniają to właśnie „Flirty", a zwłaszcza materiały uzupełniające. Powiem coś, co zabrzmi paradoksalnie. Fakt, że Boy popełniał omyłki, że prorokował nietrafnie, czyni lekturę jego pism jeszcze bardziej strawną. Widać bowiem, że nie stroił się w togę wieszcza, nie przypisywał swoim wypowiedziom cech ostatecznych i nieodwołalnych. Miał też swoje „miłości", wobec których myśl krytyczna stawała bezradna lub wycofywała się jakby zawstydzona. Taką miłością otaczał Boy twórczość Stefana Żeromskiego. Gdy w r. 1929 zespół „Reduty" wystąpił w Teatrze Narodowym z „Przepióreczką", Boy napisał: „Oglądając po upływie lat „Przepióreczkę" Żeromskiego, można już z całą pewnością powiedzieć, że z całego naszego teatru na przestrzeni kilku dziesiątków lat — ta właśnie komedia przetrwa i stanie się świadectwem pewnej epoki. I całe szczęście, że ją mamy, że ją Żeromski napisał; i w przeciwnym razie, jako jedyne świadectwo, zostałaby może „Pani Dulska" Zapolskiej, co nie byłoby dla epoki zaszczytne".

Kto oglądał niedawno w teatrze telewizyjnym „Przepióreczkę" Żeromskiego, ten musi odmówić Boyowi słuszności. Nawet jeśli odliczyć słabe wykonanie tego utworu przez aktorów kieleckich, sama materia „Przepióreczki" wydaje się bardzo już zwietrzała. Wydumany problem ruiny zamczyska, które kaprys zakochanej księżniczki każe przeznaczyć na jakiś bliżej nieokreślony instytut kształcenia ludowego, sztuczny język dialogów, bombastyka i euforia obnażyły bezlitośnie całą anachroniczność tej sztuki. Trzymała się ona dzięki „czarodziejskiej" grze Osterwy i Jaracza, a także dzięki kultowi dla Żeromskiego. Ale Boy miał słabość do „Przepióreczki" i wywyższył ją ponad wszystko. Tymczasem tak ziekceważona „Moralność pani Dulskiej" opiera się znacznie skuteczniej próbie czasu i wcale nie jest tak źle, że pozostaje ona na placu boju nie tylko u nas w Polsce. „Moralność" Zapolskiej jest jedna z nielicznych sztuk polskich, które ciągle jeszcze grane są na scenach zagranicznych, i to grane z powodzeniem.

Pomylił się również Boy w ocenie sztuki Zofii Nałkowskiej „Dzień jego powrotu", lokując ją bardzo wysoko, tuż obok „Sześciu postaci scenicznych w poszukiwaniu autora" Pirandella. Czas nie przyznał racji ocenie Boya. Gdybym miał wyróżnić którąś ze sztuk Nałkowskiej, to przede wszystkim „Dom kobiet", która przewyższa „Dzień jego powrotu" pod każdym względem: i problemowym i artystycznym. Zresztą odwołajmy się do praktyki teatralnej. „Dom kobiet" ciągle jest grany, a kto sięga po „Dzień jego powrotu?" Powie ktoś: jeśli jakaś sztuka nie jest grana przez teatry, nic to jeszcze nie znaczy. Owszem, znaczy i to wiele. Że sztuka się zestarzała i nic lub bardzo mało ma ona do powiedzenia współczesnemu widzowi.

Ale nawet tam, gdzie Boy się mylił, ulegamy urokowi jego pióra. Albowiem pisał z fajerem, zaangażowaniem i pysznym humorem. Nie cierpimy dziś na brak bojowników, ale kilku takich Boyów to by nam się bardzo przydało.

Jaki był miniony sezon teatralny, jaki będzie następny?

Odpowiedź nie wydaje się taka prosta. Pytanie o czekające nas emocje jest jeszcze kłopotliwsze, chociaż znamy już z grubsza zapowiedzi dyrekcji. Ale tak bywa, że zawsze coś ulegnie zmianie, coś się doda lub odrzuci, toteż nie zapuszczajmy się w te rejony, bądźmy ostrożni w zbyt śmiałych domysłach. Poczekamy, zobaczymy.

Od kilku sezonów żyjemy jak wiadomo, na mniejszych zwolnionych obrotach, mniej wydarzeń po tamtej stronie rampy, to i mniej wrażeń po tej. Czy to się nazywa stabilizacja? A może to tylko powrót do normy, którą osobnicy skażeni jadem prowincji ciągle jeszcze uważają za miarę należną Łodzi Teatralnej.

Zauważmy w tym miejscu jedno, o ile pragniemy logicznie rozumować: jeśli kuszą nas porównania, to skłonność ta w moim głębokim przekonaniu świadczy jak najlepiej o nas, o tym mieście, to znaczy po prostu, że mamy jakieś zaplecze, doświadczenia, tradycje. Przypomina mi się w tym zdaniu reakcja mojego znajomego na grę włoskiej trupy która występowała niedawno na deskach Teatru Powszechnego. Panie, powiedział, to wręcz rewelacyjne, nigdy Łódź nie oglądała takiego widowiska. Panie, odrzekłem spokojnie, oglądała znacznie lepsze, tylko pan zapomniał albo wówczas interesował się sukcesami ŁKS.

Przyrzekam wszakże: już nic więcej o wielkich wieczorach nad Łódką i ani słowa o stabilizacji. Zmieńmy natomiast punkt widzenia, załóżmy, że to co trwa obecnie, trwa już od trzech lat i — pozwólmy dokonać takiego przeglądu, no, cudzoziemcowi, który zjechał na ten sezon do naszego grodu. Co mógłby stwierdzić ów pan?

Każdy z naszych teatrów lansuje rodzaj repertuaru omnibusowego, nie trzeba wybierać sceny, wystarczy tylko poczekać, aby obejrzeć możliwie pełny zestaw, od romantycznego dramatu poprzez współczesny wodewil i klasyczną komedię obyczajową aż do „dreszczowca" i wyrafinowanej porcji absurdu. Przykłady? Bardzo proszę: „Dzielny wojak Szwejk" może podpatrzyć „Latające dziewczęta", „Do trzech razy sztuka" zastąpi jedną sztukę Adama Mickiewicza, „Wicek i Wacek" mogą przeżyć „Radosne dni" w towarzystwie „Ośmiu kobiet" — ktoś powiedział, że z... głowy dyrekcji, ale to zapewne złośliwość.

Nie dość, że nie zdążyliśmy niestety, przyzwyczaić naszej publiczności do korzystania z różnych typów teatru, to w dodatku zaniżamy coraz wyraźniej jakość propozycji, stosując tak kalejdoskopowy rozkład treści i form. Widać to nie tylko jaskrawo, co prawda, dopiero od lat kilku, w układzie końcówek sezonów, ale i w porach bardziej sprzyjających dostarczaniu głębszych przeżyć. Muszę tu od razu zastrzec, że ani mi w głowie nie postoi potępiać repertuar rozrywkowy. Co więcej. Jestem zdania, że egzystencja i sens działania teatru opiera się w głównej mierze na spełnianiu tych funkcji. A jednak... A jednak chciałbym, gdyby to było w mojej mocy, przynajmniej ograniczyć tę predylekcję, zahamować ten rozpęd ku rozbawianiu i zarezerwować dla tej instytucji ambitniejsze obowiązki. Sytuacja jest, nie przeczę, trudna, trochę nawet dylematowa. Ten stan rzeczy jest wynikiem co najmniej dwóch okoliczności: nacisku publiczności, żądającej ustawicznie szokujących dawek śmiechu czy grozy oraz reżimu finansowego teatru, który, aby wykonać swój plan, musi respektować życzenia (scil. gusty) swojej klienteli. Oczywiście, przejawia się w ten sposób i na gruncie sztuki teatralnej szerszy w swoim zasięgu proces ujednolicenia kultury (homogenizacji). Swego czasu toczyła się na łamach „Odgłosów" dość burzliwa dyskusja na temat „uprofilowania" teatrów. Postulowano wtedy samookreślenie m. in. w sensie podziału służby artystycznej i społecznej scen w zależności od ich konkretnych sił i środków. Czy ten problem jest jeszcze aktualny, czy wart jest refleksji, czy go urzeczywistnić? Moim zdaniem — tak. Ale są trudności. Jeśli nawet zapomnimy o dążeniu naszych teatrów do swoistego uniwersalizmu (przykłady: Teatr Powszechny, który w ramach Sceny Propozycji przeprowadza eksperymenty albo Mała Sala, wyręczająca coraz spontaniczniej tenże Teatr Powszechny, czy raczej „7.15"), jeśli więc odsuniemy tę kwestię, to i tak nie zlikwidujemy poważnych trudności. Trzeba z kolei odchylić te uwarunkowania, które przynajmniej częściowo wyjaśniają (chyba i usprawiedliwiają) ten stan niezdecydowania, bezwyrazowości, wiatrowych jakby orientacji. A więc stan pewnej słabości, indolencji, mimo wszystko dość niemrawego poszukiwania siebie. Nie jest absolutną prawdą, że teatry są zazwyczaj takie, jaka jest dana publiczność. Warto by się odwołać do pięknych ilustracji z przeszłości — nie uczynię tego, bo przecież przyrzekłem. Kształtowanie może przebiegać, to znaczy powinno przebiegać w odwrotnym kierunku: potrzeby i upodobania publiczności, jej świadomość estetyczna i wrażliwość społeczna musi urabiać scena, to znaczy, powinna usiłować wyrabiać scena. W istocie rzeczy nie znamy, tak z ręką na sercu, naszych bywalców, konsumentów. Liczby są dość mylące, sprowadzają się zazwyczaj do stwierdzeń typu statystycznego. Mówią o frekwencji, a my chcielibyśmy wiedzieć coś więcej: kto, ile razy, dlaczego, czy chętnie czy za darmo (itd.) zachodzi na teatrum. Być może, że i z tych danych dałoby się wyciągnąć sprawniejsze niż dotąd wyznaczniki polityki repertuarowej. Skoro dysponujemy tak skąpą wiedzą w tej materii (wołam raz jeszcze o ankietowanie nawet w skromnym zakresie), to tym odpowiedzialniejsze zadania spadają na nasze teatry. Rzekło się: są chwiejne, niezbyt określone, działające na zasadzie przypadku. I otóż tutaj dotykamy, jak mi się zdaje, sedna rzeczy. Sprawa nie jest aż tak drażliwa, jeżeli mówi się o tym wszędzie. Więc: nie mamy w tej chwili w Łodzi zespołu, inspirowanego indywidualnością, narzucającą nie tylko twardo i stanowczo program, koncepcje, styl, ale wywoływaniającą się do twórczego fermentu, dynamiki, rozmachu. I co się dzieje? Z reguły wystarcza zaledwie energii i wyobraźni na zbudowanie rzetelnego spektaklu i takich przedstawień mieliśmy nawet kilka w ostatnim sezonie. To: „Radosne dni", „Kaligula", „Dziady", i „Wyzwolenie". Ale w kontekście danego teatru wcale się one nie sumują, nie są odcinkiem określonego ciągu, stanowią odosobnione i porywające zjawiska, do nikąd nie prowadzą. Owszem. W zakresie twórczości konkretnych reżyserów dojrzymy bez trudu konsekwencję, rozwijanie samodzielnej poetyki, doskonalenie narzędzi warsztatu. Tę linię stale wznoszącą się demonstruje działalność Tadeusza Minca („Brytannik", „Czerwona magia", „Radosne dni" i „Życie Galileusza"), który poza tym w palecie Poulaine'a odnalazł pokrewną duszę i będzie to niechybnie symbioza szczęśliwa. Drugim przykładem jest twórczość Romana Sykały, który równie uporczywie, na innym szlaku — emocjonalnym, kolorowym — rozpracowuje swoje widzenie rzeczywistości, swój świat teatru. O ile wszakże Sykała mógł ukształtować fizjonomię Teatru Powszechnego na obraz i podobieństwo swoich inklinacji, nie realizując przy tym mojego ideału zespołowości (np. „Dziady" są w każdym razie i rehabilitacją dotychczasowej polityki schlebiania widzowi), to Minc nie wyciska tego piętna na swym macierzystym teatrze. Od czasu do czasu przywraca mu tylko wdzięk i blask, zawraca innym zakosem do tego świetności; jego odejście do TV musi przeto napawać smutkiem, tym większym smętkiem, jeżeli na tyle go urzeczie mały ekran, że nie znajdzie już czasu na dotychczasowe czynności inkrustacyjne szczarzałej placówki, przy ul. Więckowskiego. Być może zresztą — w co wierzę — że Janusz Kłosiński, który w krótkim, to prawda, okresie swego władania, nie zdążył jeszcze wytworzyć tak potrzebnych tam napięć, nada całości jednolitą twarz. Obecnie niełatwo nawet określić, jaka to będzie.

STANISŁAW KASZYŃSKI

Medytacje posezonowe

Przywołany przeze mnie cudzoziemiec nie potrafił odnaleźć, jak zapewne pamiętamy, mezaliansowej pary tytułów w repertuarze Teatru im. S. Jaracza. Tak jest, daremnie poszukiwać takich zestawień. To niewątpliwie coś oznacza. Znaczy mianowicie, że ambicje zachowania wysokiego lotu są tu szczególnie pielęgnowane. A krąg klasyków (gorzej z utworami współczesnymi), od Szekspira do Gorkiego, a zwłaszcza nurt XX-wiecznego dramatu, zaczęty Pirandellem i Giraudoux, a później Montherlantem i Anouilhem, ostatnio zaś Camusem — ewokuje szacunek i uznanie. Atoli — jedynie w połowie. Bo też każdy z przytoczonych utworów w swoim kształcie scenicznym wywodzi się skądinąd, jest osobistą koncepcją reżysera, nie współgra z innym. Mimo to, teatr to najambitniejszy w dzisiejszej Łodzi. Przede wszystkim dlatego, że nie zaniża swego poziomu, dopisuje coś do własnej tradycji, zachowuje pewną ciągłość.

A to jest najtrudniej w tym mieście, które kocha zmiany, przesunięcia, reformy: albo samo je wprowadza z ochotą albo też przyczyniają się do tego obcy. Jednym z przykładów owej lubości i to rodzimego chowu jest pomysł fuzji Teatru „7.15" z Teatrem im. S. Jaracza. Scenka, ta z Traugutta, nie była jeszcze z pewnością wizytówką teatralnej kultury miasta. Była jednak potrzebna na zasadzie rozmaitości. Określiła jakoś swoją facies, nie mówiąc o tym, że dobrze zarabiała na swoje istnienie i obecna decyzja reformy organizacyjnej (także pewnie i artystycznej) jest wielką niewiadomą w sensie spodziewanych profitów. Sprawność w przeprowadzaniu takich operacji, o czym zdają się zapominać inicjatorzy, nie gwarantuje jeszcze rezultatów. Lepiej się cofnąć, to mniejszy wstyd, a przynajmniej zaoszczędzimy sobie zawczasu melancholijnych rozważań. Przy tej okazji spójrzmy, proszę, na Teatr Ziemi Łódzkiej gdzie trwałość rządów zapewnia coraz płynniejszy rozwój. Tutaj uwaga: placówka ta weszła już w życie teatralne Łodzi i uzupełnia, nie tylko repertuarowo, niektóre niedostatki. Zachodźmy tam częściej!

Chodźmy zresztą do wszystkich teatrów. W miarę czasu. I w miarę posiadanej gotówki. Bo to naprawdę warte. O atrakcyjności sztuki teatralnej nie zawsze przesądzają wspaniałe inscenizatorzy, których mamy boleśnie mało. Nie stanowi o niej szeroki asortyment utworów, czego nie poskąpią nam znani ze swych gestów dyrektorzy. Chodźmy do teatru dla aktorów. Zostało jeszcze wielu znakomitych. Zawierzyć trzeba ich talentom i umiejętnościom.

PÓŁKA Z KSIĄŻKAMI

„KLUCZ DO DRZWI"

Alana Sillitoe, młodego pisarza angielskiego poznał polski czytelnik z dwu jego powieści, przełożonych na nasz język: „Z soboty na niedzielę" (Książka i Wiedza — 1963) oraz „Samotność długodystansowca" (PIW — 1964). „Klucz do drzwi" stanowi niejako kontynuację poprzedniej powieści, zmianie ulega jedynie osoba bohatera, choć rzecz zamyka się w tym samym kręgu angielskiej proletariackiej rodziny Seatonów. Sądzę, że o istotnej wartości tej książki stanowi nie tylko wartko i barwnie ujęta fabuła powieści, ale przede wszystkim rzetelne odmalowanie stosunków społecznych, panujących w dzisiejszej Anglii. Uważny i nieuprzedzony czytelnik otrzyma więc wiele uzupełnienia dla poznania prawdy o jednym z przodujących krajów wielkiego kapitału. Jak mocne wrażenie pozostawia np. scena bombardowania Albion Yard, dzielnicy przeznaczonej do wyburzenia, dzielnicy w której do niedawna wegetowały setki bezrobotnych rodzin. W takiej rodzinie rósł i dojrzewał Brian Seaton, przy czym rozwojowi fizycznemu tego chłopca towarzyszyła narastająca świadomość określonej przynależności klasowej, roli i celów tej klasy. Przenosząc akcję na Półwysep Malajski autor świadomie odkrywa przed bohaterem przyodzianym już w mundur Ochotniczej Służby Wojskowej najniebezpieczniejsze stadia kapitalizmu: kolonializm i imperializm.

Z. C.

Alan Sillitoe — „Klucz do drzwi". Nakł. Spółdz. Wyd. „Książka i Wiedza" 1965 r. Cena zł 35.

SZEKSPIR W PLASTYCE POLSKIEJ

Szekspir znalazł wielbicieli w Polsce już w czasach Oświecenia mimo, że jego dramaty odbiegały daleko od uznawanych wtedy za wzorowe, tragedii Racine'a. Entuzjastycznie wyrażał się o nim król Stanisław August, Ignacy Krasicki pisał artykuły w obronie dzieła wielkiego dramaturga. Księżna Izabela Czartoryska założyła nawet małe muzeum szekspirowskie w parku w Puławach. Najcenniejszym eksponatem było krzesło Szekspira — niestety falsyfikat — nabyte za dwieście gwinei w Stratfordzie.

Grupka entuzjastów była co prawda niewielka, ale... pierwszy na świecie pomnik Szekspira na wolnym powietrzu stanął w Polsce, w Łazienkach już w r. 1763.

Sytuacja bardzo się zmieniła, gdy do głosu doszli romantycy. Angielski dramaturg został uznany za geniusza i do dziś tej pozycji nie stracił. Stał się tak popularny, tak interesujący, że nawet tematy do prac dyplomowych studentów Akademii Sztuk Pięknych w Monachium profesorowie czerpali właśnie z dzieł Szekspira. A że w Monachium znajdowała się duża grupa polskich plastyków (m.in. Al. Gierymski), powstało wtedy chyba najwięcej obrazów o tematyce szekspirowskiej.

Największą sławę osiągnęli polscy ilustratorzy Szekspira. Elwiro Andriolli w r. 1883 stanął do konkursu zorganizowanego przez francuską firmę wydawniczą Firmin-Didot. Jego ilustracje do „Romea i Julii" uznano za najlepsze.

W r. 1935 nowojorskie towarzystwo bibliofilskie Limited Editions Club postanowiło wydać utwory sceniczne Szekspira w trzydziestu siedmiu wytwornych tomach nadając im niekwestionowalną szatę edytorską i możliwie najpiękniejszą formę graficzną. Wśród zaproszonych do współpracy plastyków znalazł się i Polak — Stanisław Ostoja-Chrostowski. Niestety, zanim wydanie to dotarło do Polski, Chrostowski zmarł.

Dość jednak ciekawych szczegółów. Te i wiele innych czytelnik znajdzie w pracy A. Ryszkiewicza i J. Dąbrowskiego — „Szekspir w plastyce polskiej". Autorzy w interesujący sposób relacjonują historię motywów szekspirowskich w malarstwie i grafice polskiej, nie szczędzą wiadomości o dziejach obrazów — dużo z nich zaginęło. Książka zaopatrzona jest w 56 reprodukcji — szkoda tylko, że wszystkie czarno-białe. Można było umieścić choć kilka kolorowych reprodukcji najlepszych płócien (Al. Gierymski, W. Czachorski, E. Wasilkowski, H. Krajewska).

Część ilustracyjna książki pokazuje nam właściwie wszystkie omawiane dzieła plastyczne. Trochę jednak dziwi, że Szekspir na przestrzeni dwustu przecież lat nieczęsto bywał „natchnieniem" dla polskich plastyków.

J. P.

Andrzej Ryszkiewicz, Jan Dąbrowski: Szekspir w plastyce polskiej. Ossolineum 1965. Cena zł. 25—

„HOŁD PRUSKI"

Większość pisarzy zajmujących się historią, swoje powieści zwykło pisać w formie nie kończących się przygód, intryg lub smętno-sielankowych miłości, przeplatając to wszystko kilkoma konkretnymi postaciami historycznymi. Powstają z tego wielostronicowe powieści, które często objętością odstraszają czytelnika.

Ostatnio, na półkach księgarskich, ukazała się powieść-gigant Janusza Teodora Dybowskiego pt. „Hołd pruski", przedstawiająca dzieje ostatniej wojny polsko-krzyżackiej. Autor, znany dotychczas jako dramaturg (napisał ich w sumie 11, granych w wielu teatrach Polski), tym razem sięgnął do powieści. Zaletą książki jest ciekawa fabuła, dobrze nakreślone sylwetki bohaterów, lecz czytelnik zbyt szybko męczy się dłużyznami, w które, niestety, książka obfituje dość gęsto. A nie każdy przepada za wielostronicowymi dialogami prowadzonymi w języku naszych dzielnych i bitnych praprzodków. Chwilami wydaje się, że autor nie potrafi wyrazić w paru słowach jakiejś myśli, i że sprawy proste gmatwa zupełnie niepotrzebnie.

Oczywiście, są czytelnicy, którzy lubią tego rodzaju literaturę, toteż książka Dybowskiego będzie dla nich przyjemną lekturą.

E. I.

Janusz Teodor Dybowski: Hołd pruski. Wyd. Ludowa Spół. Wyd. 1965 r. Stron 528. Cena 38 zł.

WŁADYSŁAW ANDRZEJ KEMPA

Lektura prawie sensacyjna

Przywykliśmy uważać, że słowniki i encyklopedie powinny stać na poczesnym miejscu w podręcznej bibliotecze domowej, że nie czyta się ich od pierwszej do ostatniej strony, korzysta jedynie w potrzebie, kiedy zachodzi konieczność znalezienia odpowiedzi na nurtujące nas w danej chwili pytanie.

Wyjątek stanowić może kilka słowników — encyklopedii, które się czyta z przyjemnością, do których się wraca bez znużenia. Wymienić tu dla przykładu można choćby „Encyklopedię staropolską" Glogera lub „Słownik etymologiczny języka polskiego" Brücknera. Do wspomnianych przed chwilą dzieł dodać dziś można wydany właśnie pod redakcją prof. Juliana Krzyżanowskiego „Słownik folkloru polskiego"*).

Zasadniczym powodem ogłoszenia drukiem słownika jest wzrastające w dzisiejszej humanistyce zainteresowanie problematyką kultury i literatury ludowej. Wiadomo, że obok nurtu oficjalnego literatury ojczystej, który w ciągu wieków pozostawił trwały dokument w postaci zachowanych rękopisów i druków, istnieje, do niedawna niedostrzegany, ogromny nurt twórczości niepisanej, podawanej z ust do ust, z pokolenia w pokolenie w postaci śpiewów, wierszy, podań, przysłów i bajek, które przywykliśmy potocznie określać „mądrością ludu". A lud, przeważająca część społeczności, przechowuje dawne tradycje i wierzenia, przetwarza je i na nowo przekazuje do skarbca kultury ojczystej w szlachetnej formie nadanej przez pisarzy.

Dopiero romantycy zresztą dostrzegli samorodną twórczość ludu i postanowili ocalić ją od zapomnienia i zagłady. Półtora wieku trwa praca nad zbieraniem słownych przekazów literatury ludowej, zapoczątkowana przez Zoriana Dołęgę Chodakowskiego w drugim dziesiątku lat ubiegłego stulecia. Poprzez zbieracki trud folklorystów-amatorów w rodzaju Wacława Zaleskiego i wielkie dzieło Oskara Kolberga doszła dziś folklorystyka polska do zespołowej pracy, wykonywanej przez uczestników Pracowni Literatury Ludowej Instytutu Badań Literackich PAN w Warszawie. W rezultacie powstała ogromna baza materiałowa, która podlega obecnie szczegółowej inwentaryzacji, systematyce i kolejnej interpretacji metodologicznej, najistotniejszych problemów. W wyniku dotychczasowych badań w zakresie folklorystyki zdołano ustalić szereg cennych szczegółów o współzależności np. pewnych wątków i motywów baśniowych w literaturze świata, wieku i chronologii utartych w żywej tradycji literackiej powiedzeń i przysłów. Prześledzono też żywotność wielu szczegółów dziejowych podbieżnie znanych z historii społeczeństw właśnie w żywej tradycji ludu. W oparciu o opracowaną przez A. Aarne i S. Thompsona a w Polsce przez J. Krzyżanowskiego systematykę bajki ludowej podjęto ogromny trud zbadania losów bajki w życiu duchowym narodów, nie tylko zresztą europejskich. Stwierdzono przenikanie niektórych elementów baśniowych poprzez różne cykle kulturowe od czasów najdawniejszych po najnowsze, od społeczeństw o wysokiej kulturze duchowej do społeczności prymitywnych i odwrotnie.

Zainteresowany słownikiem czytelnik znajdzie w nim odpowiedzi na pytania skąd się wzięły np. motywy znanych z dzieciństwa bajek o rybaku i rybce, śpiących rycerzach, siedmiu krukach, Kościuszku, Madejowym łożu: dowie się o rodowodzie popularnych pieśni i przysłów, pozna interesujące legendy związane z herbami szlacheckimi lub znanymi z historii osobami; doszuka się też wiadomości o wybitnych folklorystach, którzy kładli zręby pod tę nową dziedzinę nauki. Łodzianin z przyjemnością znajdzie informacje związane z jego regionem, więc o diable łęczyckim Borucie, o pracach folklorystycznych łódzkiego poety Stanisława Czernika, czy profesora etnografii UŁ Kazimiery Zawistowicz-Adamskiej. Miłośnik dawnej książki rozczyta się w rozlicznych, rozsianych w tekście, uwagach o dawnej, a często doszczętnie zaczytanej, literaturze odpustowej i jej wydawcach.

Słownik został opracowany przez 13 autorów, z tym, że podstawa trudu autorskiego wyrosła z doświadczeń prof. Krzyżanowskiego, który jest autorem 384 podpisanych artykułów. Na drugim miejscu wymienić należy Helenę Kapeluś — autorkę 78 artykułów, dwóch autorów napisało powyżej 20 not, trzech więcej niż dziesięć, dwóch wreszcie opracowało po jednym haśle. Na ogólną ilość 581 zawartych w słowniku haseł, cztery nie zostały podpisane przez autorów (F. S. Ceinowa, St. Dobrzycki, Fabuła i J. Kupiec). Gorzej, że trafiają się tu usterki korektorskie („grutowny" zamiast „gruntowny", s. 424) w początkach w. XX nie XIX, jak zapisano na s. 211) i błędy ortograficzne „Abracham" zamiast „Abraham", s. 145 i w przymiotniku „Kaszubskimi" zamiast „kaszubskimi", s. 344).

W artykule o Janie III Sobieskim pióra Andrzeja Biernackiego (s. 146) należało dodać, że motyw facecji o błaźnie Winnickim wysiadującym kurczęta wykorzystał kompozytor Stanisław Duniecki w komediooperze „Paziowie królowej Marysieńki" (premiera 16 XII 1864 r.). W artykule Ludwika Brożka (s. 449) o wydawcach książek ludowych ze zdziwieniem znajdujemy wśród wielu nazwisk miano Siero-Połaczek. Wiadomo nie od dziś, że pseudonimem tym posługiwał się trzeciorzędny literat Julian Preiss, co należało w artykule zaznaczyć. Dodać też trzeba, że „Poncjan" przedrukowywany był i po roku 1842. Niesłusznie Krzyżanowski pisze w artykule o klechdzie (s. 169), że termin ten wprowadzony przez Wójcickiego się nie przyjął w XIX w., a rozpowszechnili go dopiero w naszym stuleciu B. Leśmian (1913) i S. Żeromski (1912). Z innych dowodów znalezionych w słowniku wynika, że używali tego terminu wcześniej co najmniej A. Marcinkowski (1857) i J. Kasprowicz (1902). Przy okazji należy sprostować błąd, który wkradł się do artykułu Krzyżanowskiego na s. 460, gdzie autor pisze, że Sebastian z Łeczycy jest autorem zaginionej tragedii „Pamela" (1565). Wiadomo zaś, że tragedia ta nosi tytuł „Sofronа" i została ogłoszona drukiem w r. 1550, co prawidłowo zostało zresztą zaznaczone na s. 169 słownika przez tegoż samego autora.

Szkoda, że w słowniku zabrakło biografii ludzi interesujących się folklorem jak literat Stanisław Wasylewski, paremiograf Adam Bartoszewicz czy reżyser Leon Schiller. Przydałyby się i hasła rzeczowe o Babie Jadze, czarce-niewidce, antychryście, dziadzie kalwaryjskim, św. Mikołaju czy popularnej zabawie dziecięcej „Jedzie, jedzie pan Zelman..." Ale trudno wymagać czegoś więcej niż zostało nam w treści słownika przedstawione, bo treść ta jest i tak bogata i różnorodna. Dzieło prof. Krzyżanowskiego i jego uczniów stanowić będzie drogowskaz dla całych pokoleń folklorystów polskich, a nauce polskiej zapewni nowy trwały sukces w humanistyce światowej.

*) Słownik folkloru polskiego. Pod redakcją Juliana Krzyżanowskiego. — Warszawa 1965 Wiedza Powszechna, 8°, ss. 487, ilustr., zł 100.

Kolegiata w Sieradzu

KRONIKA Antytelewizyjna

ROCZNICA

Rocznicę wrześniową, początek drugiej wojny światowej i ostatniej samodzielnie prowadzonej wojny polskiej, potraktowano właściwie byle jak. Cóż: usłyszeliśmy kilka dobrze znanych wierszy, zatrzymano się przy paru epizodach, wyświetlono nowelę filmową, wykoncypowaną według najgorszego typu czytanek szkolnych — wszystko pod kątem martyrologicznym. A przecież 26 lat to już dość wydłużona perspektywa, pozwalająca na różne próby obiektywnego rozpatrzenia i przedstawienia splotu licznych wydarzeń. Perspektywa, z której widać wielką jedność narodową w owych tragicznych dniach, ofiarę, nadludzki wysiłek, poświęcenie, bohaterstwo nie tylko szeregowych żołnierzy. Nie podkreślono nawet, że to właśnie Polska pierwsza zdobyła się w konformistycznej Europie na walkę z hitleryzmem. Nie wiadomo jak wyglądałaby ta Europa, co jeszcze osiągnąłby hitleryzm, gdyby nie postawa polska. Nie usiłowano zestawiać klęski polskiej z późniejszymi klęskami innych bez porównania zasobniejszych państw na podobnych rozmiarami obszarach w analogicznych odcinkach czasu, w dodatku po wrześniowych przecież doświadczeniach. Czy była jakaś inna alternatywa, niż uległość lub wojna, być może, w jakimś innym układzie sił?

Sprawy więc nie ratowały: program z Miawy (31. VIII), montaż poetycki „Warszawa w pieśni", „Światowid", „Warszawskie mosty", ani powtórzony „Pegaz" — teleaudycje skądinąd zasługujące na uznanie.

* * *

Telewizję w dalszym ciągu ratował festiwal teatralny. Aczkolwiek panna Zosia, zwolenniczka Ionesco i w ogóle teatru absurdu (ja mam dość absurdów, a także paradoksów na każdym kroku, nawet w naszym powszednim życiu!) często zlewała, my z panem Maliniakiem chłonęliśmy widowisko — pseudoklasyczną tragedię Alojzego Felińskiego pt. „Barbara Radziwiłłówna". Mimo iż łódzkie jej przedstawienie w Teatrze Nowym było udane, a Mieczysław Voit w roli Zygmunta Augusta przekonywał, muszę wyznać, iż wtedy cokolwiek się nudziłem. Spektakl przeniesiony z Teatru Rozmaitości w Krakowie na Zamek Wawelski nabrał innych wymiarów, stał się właśnie widowiskiem historycznym. Reżyseria telewizyjna nadała sztuce inny smak. Zabieg, polegający na oddzieleniu w niektórych wypadkach aktorów od ich głosu, napełnił wawelskie komnaty historią. Reżyseria opanowała sytuację, nic się właściwie w tych komnatach nie gubiło, spektakl miał zwartość i ekspresyjność.

Jeśli chodzi o sztukę, stary pisarz polski potrafił obdarzyć siłą argumenty ścierających się z sobą stron, czego nie raz brakuje współczesnym bohaterom współczesnej literatury. Oczywiście, bo tym właśnie interesował się pan Maliniak, sztuka bardzo odbiega od prawdy historycznej. Historycy krytycznie odnoszą się do prymitywnej i niesympatycznej Barbary (1520—1551), wdowy po Gasztoldzie, a także do Zygmunta Augusta, w tym wypadku wystarczy powołać się choćby na nową książkę Pawła Jasienicy o Annie Jagiellonce „Ostatnia z rodu".

Ale inny był wówczas stan wiedzy, urzekała i urzeka siła królewskiej miłości, Feliński, pisząc tragedię, narodowe i polityczne cele miał na uwadze.

Aktorzy dobrze sobie radzili z trzynastozgłoskowcem, Zofia Kalińska jako Barbara wydobywała z niego wszystkie odcienie nastroju, Witold Gruszecki jako Zygmunt August stworzył postać wyrazistą, może za mało był kochankiem. Uznanie należy się Halinie Gryglaszewskiej jako Bonie. Przedmówca, znany pisarz Tadeusz Kudliński, po prostu czytał swój ciekawy tekst nie udając, iż improwizuje.

Norwid aż dotąd jest wielkością za mało zbadaną i, tym bardziej, za mało upowszechnioną, choć tak wielu na niego się powołuje. Nie czuję się na siłach do pisania o nim. Ogłądając „Aktora", czułem wdzięczność dla Teatru Lubelskiego. Ta sztuka, jak i niektóre inne, nie jest pełna. Składa się, żeby powtórzyć żart o Szekspirze, z cytatów. Zwięzłych i odkrywczych, upoważniających jednak do różnych interpretacji: „w metaforze to mówię". I tutaj mamy oskarżenie cywilizacji europejskiej, niszczącej artystów, kobiety, do których nie zaspokojony w miłości Norwid szczególnie często powracał. Gra na scenie życia przenika się z grą na deskach scenicznych, aby „przypadkowe odgarnąć, wyświecić co boże", bo to przecież Norwid powiedział: „Poezja, która zapomina o tym, że ona coś robić powinna, zapomina przez to samo o zdrowej estetyce"... „Aktor" zaciekawia nawet intrygą, jest całkowicie sceniczny. Nie wszystko wypadło pomyślnie w teatrze, który wymaga szczególnej intonacji zdań, szczególnych pauz. Ale otrzymaliśmy wiele scen łatwo docierających do widza, całość także wywarła wrażenie. Piękne momenty, urzekające nawet na małym ekranie, miał zwłaszcza Werner Andrzeja Gazdeczki. Z uznaniem wymieniłbym Hrabiego Jerzego w wykonaniu Kazimierza Siedleckiego, Elizę Zyty Połomskiej, Nicką Niny Czerskiej, Erazma Jerzego Fedczyńskiego.

I już mi brakuje miejsca. „Ziemia Orkana", to płodna okazja, zmarnowana przez kiepską publicystykę. Jak nam jednak często szkodzi natrętna, nie ufająca ludziom, publicystyka, słowa dudniące niby turlane puste beczki, unieważniające inne efekty. Narzekania „Wielokropka" na zakazy, spotykające turystów, nie wydają mi się słuszne. Wprost przeciwnie: trzeba więcej zakazów w obronie przyrody, byleby tylko przemyślanych, a przede wszystkim stanowczo egzekwowanych! Jeśli gdzieś po obozowisku pozostał śmietnik, to wcale nie oznacza, iż powinno się zezwalać na rozbijanie namiotów w innych miejscach, tam także barbarzyńscy turyści pozostawią po sobie śmietnik, no nie? W „Zielonych winogronach" było o jedną lub dwie osoby za dużo.

Jan Huszczy

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

„TOM JONES" — angielski film reżyserii Tony Richardsona zdobył tyle nagród, że szczegółowe wyliczenie ich zajęłoby blisko połowę recenzji. Odznaczono go czterema Oscarami, nagrodzono na Międzynarodowych Festiwalach Filmowych w Wenecji i San Sebastian. „Tom Jones" brawurowo podbił publiczność świata. Wyróżniali go krytycy, redakcje, Brytyjska Akademia Filmowa i sama publiczność: w 1964 roku widzowie francuscy uznali go za najlepszy film zagraniczny. Owa powszechność zachwytów, zgodność ocen jest nie lada fenomenem w kinematografii. To graniczy niemal z cudem: znawcy, najbardziej wybredni kinomani oceniają film tak samo jak szeroka publiczność, a właściciele biur wynajmu i kin uznają odtwórcę głównej roli Alberta Finneya za najlepszego aktora zagranicznego (Francja 1964). Publiczność pod rękę z krytykami i branżą! W tej sytuacji trudno wręcz recenzentowi anno domini 1965 („Tom Jones" podbił ekrany świata już w 1963 roku) powiedzieć coś absolutnie nowego.

„Film ten żyje, płonie, jeździ konno, poluje, pije i je, wywraca koziołki, weseli się, rozczula, kpi, triumfuje. Jest w całości obrazem swego bohatera — Toma Jonesa". Ta ocena Rene Gilsona wydaje mi się najbardziej trafna, lapidarnie ujmująca sedno rzeczy. Akcja filmu Richardsona posiada brawurowe tempo. Widz wręcz jest bombardowany bogactwem, atrakcyjnością obrazu. Jego poetyka przypomina trochę najlepsze tradycje filmu niemego. Twórcy tamtego okresu, zdani tylko na obraz, do perfekcji doprowadzili jego poetykę. Znali odbiorców i możliwości ruchomych obrazków z „czarnoksięskiej latarni". Umieli zaskakiwać widza ciekawymi połączeniami różnych ujęć, bawić go i trzymać w napięciu. Doceniali sprawę rytmu. „Tom Jones" korzysta z tej lekcji poetyki. Obraz ma tak „wypieszczony", jak gdyby na nim musiał poprzestać. W nim tkwi największy urok filmu, on prowadzi akcję. A równocześnie dźwięk nie jest absolutnie przysłowiowym piątym kołem u wozu. Z lekka ironiczny komentarz słowny i odpowiednio stylizowane dialogi nadają całemu filmowi ton kpiny zgodnej z duchem XVIII-wiecznego racjonalizmu. A przecież z tej właśnie epoki wywodzi się literacki pierwowzór ekranowego „Toma" — powieść Henry Fieldinga. Przeróbki tego dzieła na ekran dokonał sam John Osborne — najbardziej sławny z „gniewnych" angielskiego dramatopisarstwa. Olbrzymie dzieło prozatorskie potrafił umiejętnie sprowadzić do ram spoistego, zwartego dramatu kinowego, nie gubiąc nic z atmosfery pierwowzoru. Ten sam dystans, ta sama pogoda, niefrasobliwość. Film Richardsona jest jak żywioł — wciąga, porywa, nie sposób mu się oprzeć. Do racjonalistycznej kpiny ze świata, z rzeczywistości dodaje jeszcze jeden „smaczek" — parodystyczne spojrzenie na XVIII-wieczną powieść awanturniczą. Świetne tempo akcji, kapitalny rytm doskonale podkreśla muzyka. Nade wszystko jednak zachwycają widza wspaniałe typy postaci zarysowanych z niezwykłą wyrazistością, pulsujące życiem, dynamiczne, zaborcze, fascynujące cielesnością, werwą; odrobinę wulgarne, czy raczej mające w sobie coś z natur pierwotnych, bogate. Niezwykła intensywność — oto główna ich cecha. I tak jest też cały film Richardsona. Wszystko w nim podlega intensyfikacji. Stąd bierze się kapitalny rozmach „Toma Jonesa". Wspaniałe, porywające widowisko!

JEŚLI OBEJRZEC chcę coś, czego już teraz nie ma, co definitywnie należy do przeszłości — idę do muzeum. Jeśli ta przeszłość jest nie tak dawna, kieruję swe kroki do archiwum. Bardzo nie lubię natomiast, kiedy przeszłość narzuca mi się siłą, wbrew mojej woli. Właśnie dlatego nie lubię filmu **„MIŁOŚĆ JEDNEJ NOCY"**. Film ten reżyserowany przez H. Popescu jest dla mnie takim już właśnie archiwalnym zabytkiem. W dodatku wskrzesza przeszłość nie najbardziej chlubną. Typowy „produkcyjniak", jakich wiele krążyło po ekranach w okresie tzw. realizmu socjalistycznego. Ten dział historii kinematografii zamknięty jest u nas dawno. Przeszedł swój rachunek sumienia, odpokutował winy. I nagle film z 1964 roku popełnia wszystkie błędy charakterystyczne dla tego okresu. Jest nadęty, sztuczny, psychologicznie nieprawdziwy. H. Popescu obrał jako przedmiot tego dramatu psychologicznego tematykę wiejską. W intencjach twórców miał ukazywać przemiany zachodzące w psychice wsi w warunkach ustroju socjalistycznego. Intencję te nie zostały jednak w filmie tym należycie zrealizowane. „Miłość jednej nocy" ograniczyła się do przebrzmiałych dziesięć lat temu sloganów. Zamiast prawdy — frazesy, zamiast psychologicznej głębi — płytkość, powierzchowność. Zamiast autentyzmu — pozory. Nie tak się mówi o prawdzie naszych czasów.

Natrętna, niedobra, irytująca jest w tym filmie muzyka nastrojona niezmiennie na emocjonalny łopatologizm, w natężeniu forte. Fatalne są dialogi — może to zresztą wina naszego dubbingu, którego gorzej już chyba nie można było zrobić. Jedynym atutem na korzyść filmu są jego zdjęcia plenerowe, naprawdę piękne, zwłaszcza na początku dzieła. Toteż niemile kontrastują z teatralnym iście wnętrzem chłopskiego mieszkania.

Odeślijmy „Miłość jednej nocy" do archiwum! I czekajmy na dobre, prawdziwe, wnikliwe filmy o tej problematyce.

MARIAREL

CORBUSIER

Był kłótliwy, podejrzliwy i arogancki. Miał mało przyjaciół i wielu wrogów. Ale żaden ze współczesnych architektów nie wywarł większego wpływu na obraz dzisiejszego świata, Saarineu nazwał go „Leonardem da Vinci XX wieku". Andre Malraux widzi w nim „największego budowniczego wszystkich czasów". A on sam — Charles Edouard Jeanneret, zwany Le Corbusier, lub krócej, po prostu „Corbu" — uważał się za „poetę i proroka".

Jego poezja zajmowała się ludzkimi paradoksami — słońcem, przestrzenią, zielenią. Jego dar proroczy potrafił zmienić surową, obłą bryłę w kształt funkcjonalny i romantyczny. Miał swój własny język. Tworzył własne — odtąd obowiązujące — pojęcie: tak właśnie nazwał dom „maszyną do mieszkania". Wierzył w natchnienie, w twórczość inspirowaną głęboką namiętnością: „Pasja może tchnąć dramat w martwy kamień".

Był zresztą w życiu codziennym typowym szwajcarskim mieszczuchem. Fernand Legere, który poznał go w 1922 roku tak pisał w swych wspomnieniach: „Nadjechał sztywny, czarno ubrany i w czarnym kapeluszu, cały w tej swojej czarnej, pastorskiej sylwetce. Wyglądał na Anglika — a ściślej — na pastora, który zażywa urlopu".

„Corbu" urodził się 6. X. 1887 w la Chaux-de-Fonds, w rodzinie zegarmistrzów. Lata nauki prowadziły go — dzięki uporowi i konsekwencji — z jednej pracowni ówczesnych sław architektury do drugiej: wymieńmy tylko Josepha Hoffmana, architekta wiedeńskiego i Petera Behrensa, berlińczyka. Tam właśnie Corbu i jego rówieśnicy Mies van der Rohe i Walter Gropius odkryli dla architektury nowy świat prostych form geometrycznych. Tam właśnie „Corbu" stworzył jedną ze swych genialnych definicji: „Miasto jest działaniem człowieka przeciw naturze".

Pierwszy okres niezależnej już pracy nie przyniósł mu sukcesów: ziomkowie uznali Jego wizje architektury za dziwactwo. „Szwajcaria jest czyściutka i pilna — do diabła z nią!" — napisał wtedy buntowniczo i przeniósł się do Paryża. Tu zaczął malować i pisał manifesty „Po kubizmie", tu pierwszy raz użył pseudonimu „Le Corbusier" w tytule swej książki „Ku architekturze".

Nadchodzą lata, w których Jego teoria architektury dojrzewa i wzbogaca się o nowe, estetyczne wartości: „Zaczęła się wielka epoka" — proklamuje wbrew swym własnym początkowym lękom. W 1922 r. opracowuje słynny plan „Miasto o 3 milionach mieszkańców". Teraz, nagle sławny, współpracuje w opracowywaniu planów przestrzennych Barcelony, Antwerpii, Buenos Aires. Jego plan przebudowy Paryża jest skwitowany pełnym oburzenia okrzykiem „Megalomania!" Corbu odpowiada chłodno: „W Paryżu prorok zawsze dostaje kopniaka w ..."

Frank Lloyd Wright, drugi z największych — może powodowany zawiścią — nazwał go „dziennikarzem" i nie zaszczycił nawet rozmową. Istotnie, do 1927 r. Corbu ma na swym koncie wiele artykułów, a tylko parę zrealizowanych małych projektów. W tym też pechowym 1927 roku odrzucają mu wspaniały projekt gmachu Ligi Narodów — ponieważ jest wykreślony tuszem nie odpowiadającym przepisom. W rok później Le Corbusier buduje w Związku Radzieckim słynny gmach Związków Zawodowych. W 1930 wznosi willę dla siebie — a właściwie dla pięknej Yvonne Gallis, która po latach powie: „Tyle tu światła, to doprowadza mnie po prostu do szału".

W 1935 Corbu odwiedza Amerykę. Zacytujmy: „Manhattan jest tak antagonistyczny w stosunku do potrzeb ludzkiego serca, że tu, w N.Y., marzeniem każdego człowieka staje się ucieczka".

W 1936 konsultuje Oscara Niemeyera, architekta i konstruktora słynnej nowej Brazylii, „Już nigdy, dzięki Corbu — powie później Niemeyer — miasto nie zostanie zbudowane z pominięciem ludziej tęsknoty do światła, powietrza, przestrzeni — i wolności".

W 1952 roku Corbu tworzy projekt marsylski: 337 apartamentów na 1600 mieszkańców, we wnętrzny system ulic, sklepów, parków. Sława nie przynosi mu jednak dostatku: więc za głodowa gażę bierze się do projektu Chandigarh — indyjskiego miasta na 150.000 mieszkańców.

W 1963 Corbu kończy swój jedyny amerykański projekt — Harwardzkie Centrum Sztuk Pięknych, by jeszcze raz błysnąć genialnym nowatorstwem.

Jest do ostatnich chwil życia w pełnym rozkwicie sił twórczych: atak serca w czasie kąpieli w morzu zamyka to życie, które było zawsze wielkim, twórczym i buntowniczym zmaganiem się z tradycją, lub, że strawestujemy własne słowa Le Corbusiera — działanie przeciw formie.— Tak oto dopisana została ostatnia karta biografii, która przeistoczyła architekturę, a wraz z nią i egzystencję milionów ludzi naszej epoki.

DURRENMATT I RZECZYWISTOŚĆ

W numerze „Literatury obcej" (7/1965) znajdujemy artykuł N. Pawłowa w którym autor przypomina o liście Bertolta Brechta z maja 1955 roku pod adresem konferencji teatralnej w Darmsztadzie. W liście tym Brecht stawia pytanie, czy możliwe jest wyrazić współczesną rzeczywistość środkami, jakimi dysponuje współczesny teatr (czytaj: dramaturgia)? W latach następnych zaczęły się ukazywać sztuki Dürrenmatta („Romulus Wielki", „Wizyta starszej pani", „Fizycy"), z których każda — zdaniem Pawłowa — odpowiada pozytywnie na postawione przez Brechta pytanie. Pawłow zwraca przy tym uwagę na to, że Dürrenmatt uchyla się od bezpośredniego sposobu wypowiadania współczesnych treści, oraz że już Tomasz Mann i Bertolt Brecht ujmowali temat współczesny w formie paraboliczne. Dürrenmatt wydał w 1955 roku niewielką książkę pt. „Problemy teatru".

Sformułował w niej pytanie o możliwości wyrażenia przez sztukę teatralną współczesnego tematu, i o konieczności poszukiwania nowych form.

„Schiller pisał tak, jak pisał, stwierdza Durrenmatt, dlatego, że świat, w którym żył, mógł znaleźć odbicie w świecie, który Schiller stworzył jako pisarz i jako historyk. Świat dzisiejszy z trudem tylko mógłby się zmieścić w schillerowskim historycznym dramacie".

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

„Nigdy więcej wojny". Litografia, 1924 r.

WYSTAWA DZIEŁ KATHE KOLLWITZ

W związku z dwudziestoleciem śmierci wielkiej artystki niemieckiej Käthe Kollwitz, która zmarła przeżywszy siedemdziesiąt osiem lat, Bode-Muzeum w Berlinie Wschodnim urządziło wystawę jej prac. Romain Rolland w 1927 r. z okazji rocznicy urodzin sześćdziesięcioletniej niemieckiej artystki pisał: „Dzieło Käthe Kollwitz jest największym poematem naszych czasów, poematem, który odzwierciedla troski i cierpienia ludzi prostych, skromnych. Ta kobieta o sercu męża ogarnęła ich swoim spojrzeniem i objęła ramionami z serdeczną i wielką litością. Jest głosem milczenia ludu przeznaczonego na ofiarę". Jak pisze Stanisław Stopczyk w swej interesującej monografii, od młodości fascynowało artystkę życie prostych ludzi. Młoda malarka wymykała się z lekcji rysunków do portu w rodzinnym Królewcu, gdzie szkicowała robotników portowych i flisaków. Ze studiów malarskich przerzuciła się Käthe Kollwitz na grafikę, która daje artystce możność bezpośredniej i szybkiej reakcji na zjawiska współczesne bez potrzeby organizowania skomplikowanego aparatu malarskiego. Plonem ówczesnej czteroletniej pracy (1890—1893) Käthe Kollwitz było dziewiętnaście akwafort. Pod wpływem dramatu Gerharda Hauptmanna „Tkacze", który wywarł na artystce wielkie wrażenie, Käthe Kollwitz rozpoczęła swój pierwszy cykl graficzny pt. „Powstanie tkaczy". W 1902 roku rozpoczęła artystka nowy cykl składający się z siedmiu prac pod tytułem „Wojna chłopska". Cykl ten został uznany za dzieło jej życia i został nagrodzony w 1907 roku rzymską nagrodą „Villa Romana". Antywojenny cykl drzeworytów „Wojna" powstaje w 1923 roku. „Za pewne — pisała Käthe Kollwitz o swej pracy — sztuka moja nie jest czysta sztuką... Sztuka moja posiada cel. Chcę działać wtedy, gdy ludzie są bezradni i potrzebują pomocy".

WOLNY CZAS I WCZASY

W 7/8 numerze br. „Cahiers du Communisme" znajdujemy interesujące rozważania na temat wczasów, które są dziś wyraźnie uzależnione od ustroju państwowego, w jakim pracownicy mogą z nich korzystać. We Francji zwrotem (czytaj: poprawą na lepsze) były czasy Frontu Ludowego. Ale z rozwojem mechanizacji i pogłębieniem się eksploatacji kapitalistycznej, zwiększył się rytm i intensywność wysiłku pracowników fizycznych i umysłowych aż do granic poważnego zagrożenia zdrowia osób uczestniczących w procesie produkcji. Ankiety i statystyki lekarskie wykazują zwiększenie się chorób nerwowych, powstających w wyniku monotonnej rytmiczności pracy, przemęczenia i ogólnych warunków współczesnego życia. W znacznie większym stopniu niż dawniej robotnik jak i technik czuje się odosobniony i zamknięty w swych uwarunkowanych specjalizacja czynnościach. Jeżeli dodać do tego czas dojazdów do miejsca pracy, który w wielkich skupiskach miejskich wynosi 10—20 proc. czasu pracy w fabryce, oraz — złe warunki mieszkaniowe, zrozumiała staje się pilna potrzeba odnowienia sił fizycznych i umysłowych pracownika fizycznego i umysłowego w okresie rozsądnie zorganizowanych wczasów. Ale tutaj właśnie w systemie kapitalistycznym rozwiązanie tego skomplikowanego zagadnienia natrafia na przeszkody zdawałoby się nieprzezwyciężone. Tak zwana dyspozycja wolnym czasem (wypoczynku, urlopu) jest pozbawiona całkowicie charakteru społecznego i nastawiona wyłącznie na kalkulacje handlowe, którym przyświeca jedyna myśl — zysku, przy czym dyspozycja ta znajduje się, naturalnie, w rękach wielkiej burżuazji francuskiej. Nowe potrzeby socjalne człowieka pracy, potrzeby zrodzone z nieuniknionych ewolucji społecznych, znajdują się — jak cała ekonomia narodowa w systemie kapitalistycznym — pod dominacją wielkich monopoli, które są nastawione, oczywiście, na osiągnięcie maksimum zysków. W tym celu, np. wielkie banki francuskie (przeważnie — Rothschildów) inwestują ogromne kapitały w nową, znajdującą się w pełnym rozkwicie gałąź przemysłu, jaką jest nowoczesna turystyka. Lazurowe Wybrzeże (Riviera) i inne znane miejscowości wypoczynkowe są tradycyjną domeną działalności kapitalistycznej, obliczonej na zysk, szczególnie odnosi się to do Lazurowego Wybrzeża i tzw. Srebrnego Wybrzeża (Côte d'Argent), ponieważ luksus sprzedaje się tam szczególnie drogo i eksploatacja turystyki posunięta jest do najwyższych granic. Społeczne środowiska uprzywilejowane dysponują tam dziesiątkami tysięcy willi i pałaców, których ceny idą w miliony nowych franków. Ale jaki udział ma w tych wczasach zwykły człowiek pracy?

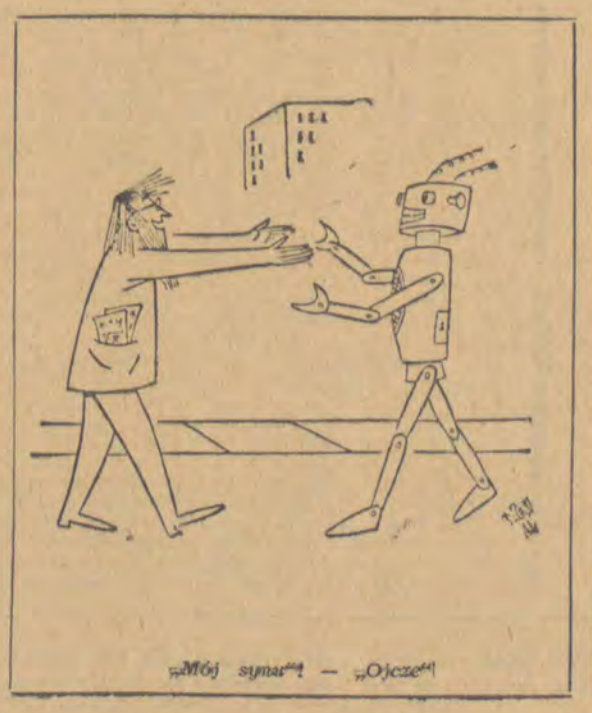

„Mój syn!" — „Ojcze!"

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Lato się kończy, jednak kilka wycieczek trzeba jeszcze zrobić, choćby po to, by wykorzystać jego ostatnie dni, te dni słoneczne, które się jeszcze trafiają. Kto już zna Działoszyn, niech się wybierze do pobliskiej wsi Węże. Największą jej atrakcją jest grota, w której obejrzeć można stalaktyty i stalagmity. Dziadek Drab odkrył pierwszą z nich jeszcze przed wojną. W tej chwili odnaleziono dalsze dwie.

Sama wieś Węże jest jedną z najpiękniejszych wsi jakie widziałem. Może dlatego, że to ciągle wieś, do której tzw. cywilizacja jeszcze nie trafiła. Ale nawet wtedy, gdy to się stanie, ciągle będzie atrakcją piękny krajobraz. Dużo lasu na kamienistych górach. Piękny widok na dolinę przeciętą wijącą się rzeką. Dziadek Drab marzy o wystawieniu na górze dużego domu wypoczynkowego. Ma dużo racji. Walory turystyczne wsi są zupełnie nie wykorzystane.

Miejmy nadzieję, że jeszcze za życia staruszka dom FWP stanie w jego wsi. Dziadek ma już co prawda 85 lat ale jest jeszcze krzepki.

WTOREK

Trochę się rozczuliłem pisząc o wsi. Czas się otrząsnąć, najwyższy czas, jeśli się pomyśli o najbliższej przyszłości tego pięknego terenu. Już teraz niektóre górki są w połowie przerobione na wapno. A interes jest do chodowy, więc obawiam się, że eksploatatorzy nie zawahają się przed zrównaniem z ziemią wszystkich. Drogie CZYNNIKI, jeżeli przypadkiem przeczytacie ten numer „Odgłosów" zatroszcie się, by turyści, którzy się wybiorą w reklamowaną przez Ammianusa miejscowość, nie narzekali że ich szpet nie naciąłem. Pewnie, wam nic nie grozi, bo za rok, dwa, nikt, poza mną, nie będzie pamiętał nawet, że kiedyś były tam piękne tereny.

ŚRODA

Swoją drogą jest rzeczą zadziwiającą, jak krótką pamięć mają nasze małe miasta. W Białej koło Pajęczna urodził się, zmarł tamże Marcin Bielski, słynny swego czasu pisarz, autor „Kroniki wszystkiego świata" i „Komedyi Justyna i Konstancyej". Grób jego znajdował się prawdopodobnie w Pajęcznie. Szukałem tam śladów po nim. Nic, dosłownie nic. Ani na cmentarzu ani w kościele. Ksiądz, który wydawał się osobą, która może coś na ten temat powiedzieć, nawet nie słyszał o tym, że właśnie w jego parafii był pochowany jeden z największych pisarzy Renesansu.

W tychże samych okolicach, w Brzeźnicy, urodził się Jan Długosz.

Tak by się chciało odwiedzić miejsca związane z koryfeuszami polskiej kultury. Można tam pojechać, owszem, ale nie znajdzie się żadnego po nich śladu.

Ech, tradycja, tradycja! zaprzepaszczana z dnia na dzień.

CZWARTEK

W Łódzkiej Wytwórni Filmów Fabularnych reżyser Hieronim Przybył rozpoczął kręcenie filmu, którego bohaterami będą Poznańskie Słowiki. Film barwny, szerokoekranowy. Jeszcze jedno ambitne zamierzenie łódzkich twórców. Jednak niepokoi mnie sprawa o której pomyśleli chyba wszyscy łódzcy melomani. Poznański Chór Chłopięcy przebywa ostatnio w Łodzi, Dawno już nie mieliśmy okazji słyszeć tego zespołu. Tymczasem nic nie wskazuje na to, że Filharmonia Łódzka czy jakaś inna instytucja organizująca życie muzyczne naszego miasta pomyślała o koncercie. Przyjeżdżają do nas sami, odpada wiele kłopotów finansowych i organizacyjnych, jednak nie ma nikogo kto umiałby skorzystać z okazji.

PIĄTEK

Pierwszy koncert w Filharmonii był dla łódzkich melomanów miłą niespodzianką. Program może nie najciekawszy, ale wykonanie bardzo dobre.

Orkiestra pod dyrekcją Zdzisława Górzyńskiego wykonała „Uwerturę Koncertową" Karola Szymanowskiego i „V Symfonię" Piotra Czajkowskiego. Te wielokrotnie słyszane już utwory, pod batutą pierwszego kierownika Filharmonii Łódzkiej po wyzwoleniu, zyskały dużo nowych walorów. Całość konsekwentnie przemyślana, opracowana w drobnych nawet szczegółach oraz wysoki poziom wykonania — wyróżniała się zwłaszcza grupa waltorni

Solista, Władysław Kędra, trafił chyba w I Koncercie Fortepianowym Ludomira Różyckiego na typ muzyki, która odpowiada jego możliwościom i upodobaniom. Sam koncert nie jest najciekawszy.

Jest jednak w nim dużo partii pełnych przepychu, części efektownych, błyskotliwych. Zwłaszcza część pierwsza wprost stworzona jest po to by pianista, mógł zabłysnąć pełnią swoich umiejętności. I tutaj Władysław Kędra nie zawiódł.

Były co prawda drobne usterki (np. fagot nieco sobie uprościł swoje partie w drugiej części Symfonii Czajkowskiego, sam Władysław Kędra — bisy — Legendę Różyckiego, Krakowiaka i Preludium Szymanowskiego — zagrał nieco powierzchownie), jednak całość wypadła doskonale.

SOBOTA

Bardzo cieszy nowa inicjatywa — tym razem grupy melomanów przy TPL. Zorganizowali oni Klub Przyjaciół Filharmonii. Co w planach? „Klub zamierza organizować prelekcje z zakresu historii i teorii muzyki, spotkania z dyrygentami, solistami kompozytorami, działaczami kultury itp. badać opinie słuchaczy o repertuarze Filharmonii..." itd., itd...

No, teraz się zacznie w Łodzi ruch wokół muzyki. Byle tylko pamiętano, że wszystko musi być starannie przygotowane i na wysokim poziomie.

NIEDZIELA

Nowy, ósmy numer „Twórczości" godzien jest specjalnej wzmianki i reklamy. Miesięcznik zmienił szatę graficzną. Ci, którzy się już przyzwyczaili do tego czasopisma, byli przyjemnie zaskoczeni. Niektórzy przeczytali z tej okazji cały numer od deski do deski. A jest co czytać. Numer jest poświęcony literaturze austriackiej. Przygotowano go i opracowano w porozumieniu z wiedeńskim miesięcznikiem „Wort in der Zeit".

Dużo prozy, dużo poezji, oprócz tego trzy ciekawe szkice Gerharda Fritscha — „O literaturze w Austrii", Hansa Brunmayra „Literatura austriacka po roku 1918" i Helmuta Schwarza — „Życie teatralne Wiednia".

Oprócz tego stałe działy miesięcznika: Wśród książek. Na widnokręgu (Bieńkowski o Robbe-Grillecie), Przegląd zagraniczny i Noty.

AMMIANUS

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

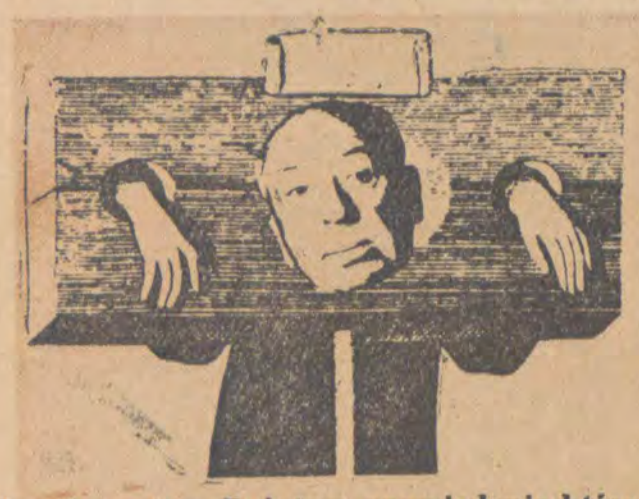

Przedstawiam Państwu opowiadanie którego nie pozwolili mi zrealizować w TV

Alfred Stitchcock

L. J. STECHER (jr)

ZMARTWIONY

Droga Pani Dix VI:

Mam pewien problem. Nie wiem, czy będzie mi pani mogła pomóc w jego rozwiązaniu. Ale pomogła pani przecież tylu ludziom, że gotów jestem spróbować. Pragnąłbym, ażeby nie zamieszczano odpowiedzi na mój list w normalnej rubryce. Proszę o odpisanie mi osobiście. Zdaję sobie sprawę z tego, że wie pani o mnie wszystko. Któż by nie wiedział. Niestety, większość wiadomości o mnie, znanych pani, jest prawie całkowicie niepochlebna. W związku z tym postaram się najpierw przedstawić swoją przeszłość.

Zastrzegam, że wbrew sprzecznym plotkom rodzice moi, w czasie kiedy się urodziłem, byli najnormalniejszymi ludźmi, a więc i ja byłem wtedy najzupełniej normalnym człowiekiem.

Otóż musi pani wiedzieć, że jestem Alfredem Wspaniałym... Już wyobrażam sobie pani zdziwienie: Alfred Wspaniały i pisze list do jakiejś tam Pani Dix VI. Bądź co bądź, mimo progresywnych podatków, jestem przecież jednym z najbogatszych — tak! — jednym z najbogatszych ludzi na świecie. Nie wierzy pani? Rodzice moi byli niezmiernie bogaci, mimo to udało mi się zebrać jeszcze więcej dóbr materialnych niż im. Kto wie, czy kiedykolwiek pisałbym do pani, gdyby nie byli tak bogaci.

A więc mój życiorys. Urodziłem się w roku 2352 i przeszedłszy swój niemowlęcy test na stopień inteligencji z zaszczytnym wyróżnieniem zostałem przyjęty, w normalnym wieku 3 miesięcy, do żłobka Harvardu, przeznaczonego dla najgenialniejszych dzieci. Oczywiście nazwisko Alfreda Vanderfone zostało wpisane wcześniej na listę żłobka. Dziesięć lat przed moim urodzeniem. Rodzice moi byli wystarczająco bogaci, by otrzymać prawo posiadania trojga dzieci. Ja miałem być ich pierwszym, jako, że na początku zdecydowali się na syna. Wiedzieli, że będę geniuszem i w związku z tym podejmując rozsądne środki ostrożności, kazali wpisać mnie do żłobka jeszcze przed ułożeniem wstępnej listy kandydatów.

W wieku lat sześciu opuściłem żłobek udając się do domu na roczny urlop naukowy. Właśnie wtedy spotkało mnie moje pierwsze nieszczęście. Na czas mojego pobytu ojciec i matka wprowadzili się do tego samego mieszkania, w celu stworzenia odpowiednio przytulnej, domowej atmosfery. Jednak na skutek nieuwagi przy planowaniu zdarzyło się to w roku wybranym na urodziny ich drugiego dziecka, tym razem dziewczynki. Rodzice mieli pozostać ci sami dla wszystkich troiga dzieci. W normalnych warunkach poświęcono by mi wystarczająco dużo uwagi i nigdy nie doszłoby do szoku. Niestety, zaniedbano mnie trochę. W każdym bądź razie mimo dość młodego wieku, rozwinął się u mnie w jakiś sposób embolizm i wpłynął na uszkodzenie serca.

Wtedy to właśnie bogactwo moich rodziców okazało się nieocenione. Prognozy były jak najbardziej niepomyślne. Mimo to rodzice moi postanowili ratować mnie. Moje serce zostało zastąpione sztucznym, zasilanym przez baterię atomową. Cała aparatura była oczywiście, znacznie większa od normalnego organu, niemniej jednak po paru latach przyzwyczaiłem się do niej, a nawet nauczyłem się regulować jej pracę. Wypukłość między łopatkami, gdzie znajdował się system lamp, oraz z przodu skąd odchodziła pompa, nie były zbyt rażące. We właściwym czasie przyjęto mnie do żłobka Princeton II stopnia, dla nadgeniuszy, bez jakichkolwiek sprzeciwów (mimo mojego pozornego kalectwa). Tylko złośliwi mogą twierdzić, że dano za to jakąś większą łapówkę. Trzy lata w Princeton zleciały bez większych wydarzeń.

Na początku czwartego roku pobytu w Princeton zdarzył się mój drugi nieszczęśliwy wypadek. Sprawa ta nie została wyjaśniona do dziś dnia. Faktem jest, iż moje sztuczne serce nawaliło. Nie zginąłem jednak od razu mimo, że prognozy jeszcze raz okazały się dla mnie bardzo niepomyślne. W znacznym stopniu zostały jednak uszkodzone: płuca, wątroba i nerki. Byłem ruiną. Mimo, że rodzice moi zainwestowali we mnie masę pieniędzy, raporty o stanie mojego zdrowia były jednakowo niepomyślne. Nie słuchając porad lekarzy postanowili podjąć jeszcze raz próbę ratunku. Postanowiono przeprowadzić całkowitą dezintegrację organizmu. Krew teraz miała być produkowana, utleniana, odżywiana i wpompowywana do tętnic przez mechanizm o wadze dwudziestu kilogramów. Oczywiście przy konstrukcji tego mechanizmu trzeba było uwzględnić jego łatwość przenoszenia. Miałem wtedy niecałe 10 lat i mógłbym co prawda nosić ten ciężar na plecach, ale przeszkadzałoby mi to w rozwoju fizycznym. Z tego też powodu nie przyjęliby mnie z powrotem do Princeton. Dlatego postanowiono umieścić cały mechanizm w pojemniku, który miałem ciągnąć za sobą. Taki pojemnik zaopatrzony w koła przeszkadzałby mi na pewno przy skokach, wspinaniu się i wielu innych chłopięcych czynnościach. W związku z tym konstruktorzy zdecydowali się zaopatrzyć pudło w parę kończyn. To narzuciło potrzebę zainstalowania dodatkowego mechanizmu o wadze piętnastu kilogramów. Kontrolowanie pracy obu mechanizmów następowało przy pomocy odruchów. Tak więc przybyła mi druga para kończyn i długi, giętki ogon, jako, że połączenie ciała z mechanicznymi organami wymagało właśnie takiego ogona. Na jego końcu znajdowało się pudło koloru ciała, które posuwa się na własnych nogach.

Dzięki małej operacji i ćwiczeniom, mięśnie ogona stały się samorzutnie regulatorami wszelkich ruchów pojemnika. Zakres moich czynności życiowych wcale się nie zmniejszył — raczej przeciwnie. Powinna mnie była pani widzieć w biegu przez płotki, z tym zabawnym pudłem galopującym tuż za mną i przeskakującym przez każdą przeszkodę, którą przeskoczyłem.

W ostatnim roku mego pobytu w Princeton poderżnąłem sobie gardło. Był to, oczywiście, wypadek. Wtedy to właśnie zainstalowano mi urządzenie Vadera wraz ze sztucznymi strunami głosowymi. Działało tak dobrze, że już wkrótce nauczyłem się naśladować swój głos. Zdawało mi się, że nikt nie zauważył tej drobnej zmiany. Wspomniałem o tym tylko ze względu na uwagi o moim nieludzkim głosie. Urządzenie to umożliwia mi nawet śpiewanie, w czym nie byłem nigdy dobry. Mogę także jednocześnie śpiewać i naśladować banjo. Z tego względu zyskałem sobie nawet dużą popularność na piknikach. Był to ostatni, wydawało się, wypadek. Skończyłem parę college'ów z wyróżnieniem. Wliczając urlopy naukowe, to wszystko kosztowało mnie 29 lat pracy, nie licząc ostatniego mego pobytu w Princeton. Wtedy, jako pełen zapału młodzieniec w wieku lat 42, byłem gotów do usamodzielnienia się. Byłem dość sprytny, by uniknąć nakazu pracy, którym objęto tak wielu supergeniuszy. Myślę, że praca ta mogłaby dać mi całkowite zadowolenie, niestety, była mało płatna. A ja byłem dostatecznie bogatym, by chcieć być jeszcze bogatszym. Pojemnik z moimi organami nie stanowił większej przeszkody. Dzięki ćwiczeniom mogłem utrzymywać go tuż przy nogach, tak, że był prawie niezauważalny. Tak przynajmniej mówili ludzie — i to nawet ci, którzy nie pracowali u mnie. A nawet gdyby się rzucał w oczy, to i tak by mi to nie przeszkadzało. Zacząłem powiększać swój majątek, ponieważ uważam, że jak długo będzie jakikolwiek przejaw swobody w tym kraju — a myślę, że będzie zawsze — będą istniały legalne sposoby powiększenia fortuny. W ciągu 10 lat stałem się jednym z najbogatszych i najważniejszych ludzi na świecie. Byłem potęgą.

Wtedy to właśnie nieopatrznie wypiłem butelkę kwasu. Nie, nikt nie próbował mnie otruć, ani nawet nie próbowałem popełnić samobójstwa, nawet podświadomie. Po prostu odczuwałem pragnienie. Wyszedłem z tego z parą nowych pojemników.

Stawałem się coraz bogatszy. Byłem szczęśliwy. I wtedy przyszedł ten największy cios. Na tym, co mi jeszcze pozostało rozwinął się rak. Między innymi zaatakował mózg. Niestety, nie można go było operować. Wszystko wskazywało na to, że zostało mi zaledwie parę lat do całkowitej utraty władz umysłowych. Wtedy nadawałbym się tylko na szmelc. Nie poddałem się jednak. Byłem przyzwyczajony przecież do stopniowej wymiany części mego organizmu. A poza tym byłem bardzo bogaty. Bez chwili wahania kazałem zbudować sobie sztuczny mózg tak sprawny, jak oryginalny. W tym celu zakupiono trzy duże budynki w centrum miasta i wypełniono je potrzebnymi urządzeniami elektronowymi.

Nie wiem jak udało się przenieść moją pamięć i całą osobowość na tę masę rur, drutów, taśm i tranzystorów. Wiem tylko, że zrobiono to doskonale. Powiedziano mi, że była to najłatwiejsza część pracy. Nic z mojej indywidualności nie zostało zmienione. Mogłem znowu używać swojej nowej głowy do pomnażania bogactwa. Musiałem teraz płacić rachunek za wodę i elektryczność. Wyszedłem z tego jako Alfred Wspaniały — i w dalszym ciągu jestem takim samym człowiekiem jak pani, nawet jeżeli wielu ludzi nie wierzy, że tak jest.

Zgoda, nie zostało dużo z pierwotnego mnie, ale jak mówi stare przysłowie — kontakty tworzą człowieka. W dalszym ciągu jestem niczym innym, jak starym Alfredem Vanderfonem, tym samym super-geniuszem, jakim zawsze byłem. Skończyłem już prawie cały swój życiorys i gotów jestem nareszcie przedstawić swój kłopot.

Otóż zbliżam się już do sześćdziesiątego roku życia, tzn. osiągnąłem Wiek Wyboru na Ojcostwo. Miałem szczęście być wybranym na ojca trojga dzieci. Być może, słyszała pani plotki, że o moim wyborze zadecydowały pieniądze. Nie przeczę temu, niemniej jednak nie zgodzę się co do wielkości sumy, którą się przy tym wymienia. Była na pewno większa. Nie znaczy to bynajmniej, że nie posiadam wymaganych zalet. Na pewno posiadam. Niestety, większość opinii publicznej była uprzedzona do mnie jako do przyszłego ojca. Słyszałem nawet sceptyczne uwagi o moich zdolnościach. Ale to głupstwo. Ważne jest to, że jestem wybrany. I co najważniejsze, na matkę wszystkich troiga dzieci została wybrana samotna, niezwykła kobieta. Nie jest to żaden zbieg okoliczności, że kobietą tą jest moja sekretarka, mogę dodać, że piękna. Jestem na tyle staroświecki, by chcieć, aby moje dzieci miały te wszystkie udogodnienia, które miałem ja sam, włączając rodziców formalnie zaślubionych prawnym i religijnym obrzędem. A więc poprosiłem wybraną matkę moich dzieci — aby mnie poślubiła, i Gloria — takie jest jej imię — była na tyle łaskawa, ażeby przyjąć moją propozycję. Mamy się pobrać za tydzień.

Chciałbym prosić panią o poradę. W jaki sposób mogę poznać, czy Gloria mnie kocha, czy też chce mnie poślubić ze względu na mój majątek?

ZMARTWIONY
A. VANDERFONE
(WSPANIAŁY)

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Lewym okiem

SMACZNIE i TANIO

Latem żony ruszają na wczasy, dzieci lokuje się na koloniach, mężowie zostają w miastach. Sam mógłbym pochwalić się niezłym — jakby tak policzyć łącznie wszystkie lipce i sierpnie, to chyba paroletnim stażem słomianego wdowca, o którego zwyczajach, troskach i zabawach całe tomy już napisano. Najważniejsza zaś, a nie nazbyt wyeksponowana troska — to chyba obiady.

W dwóch stołówkach dietetycznych wszyscy się nie zmieścimy. Do Balatonu można iść cztery razy, poświęcając za każdym razem godzinę na przesiępowanie z nogi na nogę i decydując się na spożywanie swego dania w ciasnym otoczeniu spiętrzonych talerzy z niedojedzonymi resztkami. Piątego dnia musielibyśmy już wrócić do dania, od którego śmy zaczęli. Karta się skończyła.

W restauracjach — poza paroma najdroższymi, do których można zajść czasem dla przyjemności, ale nie dla zaspokojenia zwykłego głodu — obiadu zjeść nie można. Wszystkie stoliki od południa do późnego wieczoru otoczone wianuszkami panów, pod każdym krzesłem pękata teczka, kołnierzyki rozpięte, czoła spocone, dialogi głośne i trudne do zniesienia. „Jaki jestem, taki jestem, ale pan prezes wie..." „Co mi tu będziesz..." Dalej już uszy więdną. Panowie są przeważnie „na delegacji" i pewnie kończą konferencję. Dużo jest konferencji w mieście Łodzi. Straszni są panowie na delegacjach. Najstraszniejsi, gdy jest ich piętnastu i mają jedną panią. Pani śpiewa o cichej wodzie i robi miny, od których dawno się odzwyczaiła. Panowie opowiadają dowcipy. W pobliżu takiego stołu, gdyby nawet było miejsce, kelnera się nie doczekamy.

Są jeszcze bary mleczne. Świetny wynalazek, nieznany w tej formie w żadnym z ościennych krajów. Zawsze w takim przybytku coś z nabiału dostaniesz: grochówkę ze słoniną, parówkę z kapustą i piwo. Trudniej o mleko. Kolejki owszem też są, sterty talerzy na stolikach także, za to obsłużysz się szybko i tanio. Żeby tak jeszcze w „Narożnym" nie dawano kompotu w grubych, zielonych szklaneczkach po musztardzie, żeby gdzie indziej mniej kubeczków miało poutrącane uszka i powygryzane przez głodnych klientów brzegi, żeby na tych brzegach nie znajdować przyschniętego kożucha z kakao i śladów eleganckiej, modnej w kolorze szminki!

Niektórzy bardzo wytworni bywalcy narzekają na zapach. Rzeczywiście, skwaszona serwatka w połączeniu ze skwierczącą słoniną i parującymi od gorąca obierzynami to mocna rzecz. Mimo wszystko jednak to jeszcze nie bar rybny w upalne południe. Można wytrzymać, skoro nie może być inaczej, a widać nie może. Można zadowolić się ósmą częścią papierowej serwetki, skoro musi być taka oszczędność, a widać musi, bo w większości barów nawet tej ósmej części nie ma. Można przywyknąć do mocowania się z przypieczonym na twardą skorupę krokietem czy naleśnikiem przy pomocy wątłego widelca, skoro noże nie figurują w inwentarzu barów mlecznych. Z większym trudem przyjdzie nam znieść energiczne wymachiwanie przed nosem ścierką o kwaśnym zapachu, stoliki i półki muszą być jednak raz na jakiś czas wytarte, a sprzątający człowiek pracy jest zły ze zmęczenia. Ciska więc kubkami i spodeczkami, unosi bezceremonialnie talerz z naszym omletem zagarniając spod niego języki rozlanej kawy, kawa kapie na spodnie, ścierka — zbyt mokra — niczego już nie ściera, najwyżej rozmazuje i zgarnia na podłogę. Wreszcie interwencję sprzątaczki mamy przecież za sobą, a obiadek jest smaczny, pożywny i tani.

I znów na parę dni mamy dosyć.

ĆWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17, Zam. 2355 .IX.68. N-3